



# Zeszyty TŁUMACKIE



II KWARTAŁ 1998

ISSN: 1426-4129

Nr 2 (10)

---

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław

---



# Spis treści

Miłośnikom piłki nożnej .....	1
Mecz piłki nożnej (okruchy dzieciństwa) – wiersz – Henryk Wilczewski .....	1
<b>Tłumackie sylwetki</b>	
Byłem uczniem prof. Mariana Mierzwińskiego – Tadeusz Preis .....	2
<b>Historia Tłumacza</b>	
Tłumacz w latach 1919-1939 (c.d.) Opracowano na podstawie książki K. Barańskiego pt. Przemienili Zagońcycy, Chliborobi i Chasydzi. ....	3
<b>Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym</b>	
Kronika-Calendarium miasta i powiatu tłumackiego (c.d.) Rok 1933/34 – Michał Nikosiewicz .....	4
Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c.d.) – ks. Lesław Jeżowski .....	5
Dzieje Gimnazjum w Tłumaczu. Zapiski nieznanego gimnazjalisty – ze zbiorów M. Nikosiewicza .....	8
Jeszcze o tłumackiej bursie (lata międzywojenne) Jan Majdański .....	11
<b>Tłumacz w latach 1939-1945</b>	
Spotkanie z porucznikiem Michałem Dębciem w ostatniej Jego podróży na Wschód – Michał Szumilas .....	12
<b>Kościół pw. Św. Anny – tłumaccy księża</b>	
Dzień św. Józefata w Tłumaczu – ks. Lesław Jeżowski .....	13
List ks. grek.-kat. Iwana Pławiuka do ks. dr. prałata Romana Dacy .....	15
<b>W cieniu białych nocy i czarnych dni</b>	
Wspomnienia sybiraczki (c.d.) – Leonarda Grenadier-Złotnik .....	15
<b>Tłumacki Holocaust</b>	
Sprawiedliwi, prawi – nie Żydzi (c.d.) – wyjątki z książki wyd. w Izraelu w 1970 r. pt. „The Righte ans Gentiles” – Shlomo Blond – Jan Tatomir i jego żona Julia .....	19
<b>Wiadomości z życia tłumaczan</b>	
Zauroczeni polskim morzem oraz refleksje osobiste – Roma Lityńska-Króliczek .....	22
Z protokołu – Jerzy Czyżycki .....	23
Wierszyk Oleńki .....	23
Uroczystości odsłonięcia Krzyża Ofiar Katynia i Syberii – Danuta Tabińska-Juhasz .....	24
Przeżyjmy to jeszcze raz (c.d.) – Spotkania i zjazdy tłumaczan 1945-1995 – Janina Petrus-Duszyńska .....	24
<b>Tłumaczenie piszą</b>	
Nasz słowniczek .....	29
Sprostowania – Errata .....	29
<b>Odeszli .....</b>	
Okładka – Dom prof. Hrapkowicza przy ul. Słowackiego w Tłumaczu (stan obecny). Fot. D. Tabińska-Juhasz	

Redaguje zespół w składzie: Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny  
Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

Redakcja techniczna: Franciszek Borkowski

Adres Redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,  
ul. Ruska 32/33, I p. Skr. poczt. 1042, Wrocław 3. Tel. 071/44-88-93.  
Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki Tłumacza. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

## Miłośnikom piłki nożnej

W roku mundialowym 1998, gdy cały świat z uwagą śledzi rozgrywane się we Francji mecze, chcemy naszym Czytelnikom przypomnieć, że ponad 60 lat temu mieszkańcy Tłumacza również bardzo emocjonowali się futbolem.

W Tłumaczu każda narodowość miała swoje drużyny piłkarskie:

Polacy mieli 3 drużyny – „Sokół”, „Strzelec” oraz „Harcerz”.

Ukraińcy drużynę o nazwie „Łuh”,

Żydzi zaś dwie drużyny – „Hasmonea” i „Makkabi”.

Wszystkie te drużyny rozgrywały między sobą zacięte mecze na boisku sportowym, które mieściło się za targowicą na Stawiskach.

Boisko miało kiedyś ogrodzenie, nigdy jednak nie posiadało trybun. Mecze oglądało się na stojąco.

Redakcja

Henryk Wilczewski

(okrucy dzieciństwa)

### Mecz piłki nożnej

*Sokół, Strzelec, Hasmonea,  
to sportowa epopea.  
Tłum się kłębi, tłum faluje,  
tłum im wszystkim kibicuje.  
Co tygodnia, co niedziela,  
ktoś tam komuś bramki strzela.*

*Raz spotyka się z Sokołem,  
co to zawsze woła „Czołem”,  
Strzelec, co to woła „Cześć”  
i nie da się w kaszy zjeść.  
Mecz zacięty, przepisowy.  
No, a wynik remisowy.*

*A natomiast innym razem,  
zgodnie z rozgrywek wykazem,  
Hasmonea – klub żydowski  
(ma niebiesko-białe paski),  
gra o puchar nad puchary,  
na boisku robi czary.*

*Krzyk się wznosi – głos stu trąb.  
Wkoło słyhać – „Benio ciąg!”  
A on nogą, główką, ciałem,  
przez murawę rwie z zapalem.  
Hasmonei z nim drużyna,  
zawsze atak rozpoczyna.*

*Wtedy zewsząd słyhać w krąg:*

*„Benio ciąg i Benio ciąg”.*

*Gdy pod bramką są już Icki,*

*Tracą impet, bo Łapicki,*

*co to w bramce Strzelca stoi –  
on niczego się nie boi.*

*Tu się zmienia Benia rola.*

*Nie jest w stanie strzelić gola.*

*Więc przejmuje piłkę Dyś,*

*bo on dobry dzień ma dziś.*

*Odległość dobrze wylicza*

*śle ją do Tuzinkiewicza.*

*Wtedy rusza Strzelca atak.*

*Mańko Papiz, on to gra tak:*

*przerzut w lewo, drybling, zwód,*

*byle dalej, byle w przód.*

*Gdy już jest pod samą bramą,*

*zawsze kończy się tak samo.*

*Piękny, silny strzał z woleja*

*i skończyła się nadzieja.*

*Piłka, gdzieś hen w niebo leci,*

*z czego radość mają dzieci*

*mogą bowiem (co się zdarza)*

*kopnąć piłkę do bramkarza.*

*Wśród publiki – jęk zawodu.*

*Nikt już nie pcha się do przodu,*

*by zobaczyć, kto to znowu,*

*zdobył bramkę honorową.*

*I w ten sposób, kłopot z głowy –*

*wynik meczu: bezbramkowy.*



*Piłkarze drużyny „Strzelca” w Tłumaczu. Od lewej: M. Papiz, S. Dyś, M. Storoż, S. Tuzinkiewicz.*

## Tłumackie sylwetki

### Byłem uczniem prof. Mariana Mierzwińskiego

Tadeusz Preis



*Prof. Marian Mierzwiński (w środku) w otoczeniu swoich wychowanków III kl. gimnazjum i II kl. liceum w Tłumaczu w 1938/1939 roku szkolnym.*

Pan prof. Marian Mierzwiński ukończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Lwowskim im. Jana Kazimierza.

Przed II wojną światową mieszkał i pracował na Kresach Wschodnich II-giej RP-tej w miasteczku powiatowym Tłumacz, leżącym w województwie stanisławowskim.

Druą wojna światowa spowodowała duże zmiany terytorialne państwa polskiego. Miliony Polaków opuściły dawne Kresy Wschodnie – zmuszone do repatriacji przez władze sowieckie.

Większość naszych rodaków osiedliła się na Północnych i Zachodnich Ziemiach Odzyskanych – wśród nich znalazł się prof. Marian Mierzwiński. Zamieszkał na Śląsku Opolskim w mieście powiatowym Prudniku, leżącym w pobliżu granicy polsko-czechosłowackiej u podnóża Gór Opawskich stanowiących część wielkiego łańcucha Sudetów Wschodnich.

Tutaj profesor rozpoczął pracę nauczycielską w nowotworzonym się polskim gimnazjum jako wykładowca jęz. polskiego. Był nauczycielem lubianym i szanowanym przez młodzież i grono profesorskie.

Ubiarał się przeważnie w czarną marynarkę, popielate spodnie, strzygł się na jeża, chodził pieszo do szkoły, a miał do niej daleko, bo mieszkał na peryferiach miasta. Ulubionym przysmakiem profesora był mózdzek.

Jako dobry wykładowca starał się przekazywać młodzieży jak najwięcej wiadomości.

Profesor wyczytywał uczniów z dziennika do odpowiedzi przeważnie według alfabetu. Patrząc wnikliwie na klasę zadawał pytania, w czasie odpowiedzi ucznia, miał zwyczaj poprawiania rękoma swojej fryzury na głowie.

Kiedy zdarzało się, że uczeń zaczął wolno mówić i stękać w czasie odpytywania, chcąc zyskać na czasie, żeby inni koledzy

podpowiedzieli mu za plecami – wtenczas zdenerwowany trochę profesor powiadał do ucznia – ty mów normalnie, a ja za ciebie będę stękał.

Nasz wykładowca wspominał nieraz na lekcjach jęz. polskiego swojego dawnego gimnazjalistę – ucznia prymusa, którego jeszcze uczył w Tłumaczu, który miał pewne trudności z ortografią. Był jednak młodzieńcem wybitnie zdolnym, po wojnie został świetnym wykładowcą na Uniwersytecie w Rzymie.

W czasie zajęć lekcyjnych opowiadał nam profesor o wkroczeniu Armii Czerwonej na Kresy Wschodnie II RP – 17 września 1939 roku. Kiedy żołnierze sowieccy weszli do magistratu w Tłumaczu – w urzędzie nadal wisiały godła państwa polskiego – orzeł w koronie, portrety prezydenta RP – Ignacego Mościckiego i marszałka Polski Edwarda Rydza Śmigłego. Burmistrz Tłumacza siedzący za biurkiem podobno powiedział wchodzącym do gabinetu bolszewikom iż nadal pracuje i nie uznaje ich władzy.

Na lekcjach profesora Mierzwińskiego nie było jakiegos szczególnego napięcia czy strachu jak to bywało na innych zajęciach. Duży nacisk kładł na lektury szkolne. Popularna wśród młodzieży była trylogia Sienkiewiczowska. Ulubioną lekturą był „Pan Tadeusz”. Obszerne fragmenty Pana Tadeusza trzeba było dobrze znać. Twórczość Juliusza Słowackiego cieszyła się dużym uznaniem. Klasyka literatury polskiej musiała być dokładnie opanowana.

Profesor przepytawał z lektur szkolnych przeważnie u siebie – w starej wili niemieckiej otoczonej wysokim żywopłotem znajdującej się na przedmieściu.

Podawało się 10 lektur – profesor zapisywał tytuły książek do swojego czarnego notesu. Po dokładnym odpytaniu, zaliczał te lektury jako przeczytane.

Najlepiej było czytać i zdawać lektury w czasie wakacji, natomiast w roku szkolnym były problemy, przy dużym nawale nauki brakowało czasu na przeczytanie dokładne wszystkich lektur szkolnych. Jesienią i zimą w czasie krótkich dni było bardzo nieprzyjemnie chodzić w ciemnościach na dalekie peryferie miasta do profesora w celu zaliczania lektury.

Nasz wykładowca zwracał dużą uwagę na gramatykę, ortografię i ładne pismo. Uczniowie wymieniali się swoimi wypracowaniami i pisali recenzje.

Profesor zmuszał ucznia do samodzielnego myślenia i poprawnego wysławiania się, trzeba było być dobrze przygotowanym do lekcji pod względem merytorycznym.

Dużo uwagi poświęcał klasom maturalnym. Prowadził z nami dodatkowe lekcje. Uczniowie Państwowego Liceum Ogólnokształcącego w Prudniku w większości dostawali się na wyższe uczelnie. □

# Historia Tłumacza

## Tłumacz w latach 1919-1939 (c.d.)

Na podstawie książki Kamila Barańskiego pt. „Przeminęli Zagończycy, Chliborobi i Chasydzi” wydanej w 1988 w Londynie.

Życie kulturalne Polaków zamieszkałych w Tłumaczu koncentrowało się głównie w budynku Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Prezesem tego Towarzystwa był E. Deyczakowski, a vice-prezesem J. Ruczkowski. Prezeską „Sokolic” była Anna Gabańska. „Sokół” posiadał swój własny, okazały budynek, w którym znajdowała się sala widowiskowa, sale gimnastyczne i pokoje klubowe oraz czytelnia i wypożyczalnia książek. Przy „Sokole” działał teatr amatorski i chór. W budynku „Sokoła” odbywały się wszystkie znaczące uroczystości, imprezy, takie jak akademie, odczyty, rauty, przedstawienia. Tu też mieściło się jedyne w mieście kino.

Oprócz wspomnianego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” na terenie Tłumacza istniało wiele organizacji i towarzystw o różnym charakterze. Działo tu Towarzystwo Szkoły Ludowej, którego prezesami byli kolejno M. Wroński i K. Mołczanowski. Nauczyciele należący do Związku Nauczycielstwa Polskiego mieli swoje „Ognisko”. Rzemieślnicy i kupcy zgromadzeni byli w cechach, poza tym istniał Katolicki Związek Samopomocy. Swój związek miała też szlachta zagrodowa. Pomoc potrzebującym niósł Oddział Polskiego Czerwonego Krzyża. Kobiecą organizacją był Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet. Ostatnią przewodniczącą Związku była p. Maria Jeżowska. Znaczącą organizacją był „Strzelec”, na czele którego stał por. Chrzanowski.

Poza tym istniały: Związek Legionistów, Powiatowy Związek Oficerów Rezerwy (prezes J. Gabański) i Związek Strzelecki którym kierowali kpt. Skowroński, a później kpt. Wilczewski. W mieście działała Czytelnia Mieszczkańska i Kasyno Mieszczkańskie. Upowszechnianiem kultury muzycznej zajmowało się Towarzystwo Muzyczne im. St. Moniuszki, a rozwojem turystyki Polskie Koło Czarnohorskie, będące oddziałem Towarzystwa Tatrzańskiego.

W Tłumaczu wydawana była polska gazeta pt. „Orędownik”. Znaczna część młodzieży polskiej należała do harcerstwa. Opiekunem tej organizacji z ramienia szkoły był prof. S. Dąbek. W Tłumaczu były dwie harcerskie drużyny męskie: im. ks. Józefa Poniatowskiego i założona przed II wojną światową drużyna im. Tadeusza Kościuszki. Działaczami harcerskimi byli: J. Wąsowicz, R. Dąca, M. Wroński, A. Maziarek i in. Żeńską drużyną harcerek kierowały: E. Kulczycka, Kruszecka, Ziółcecka. Krąg starszych harcerzy „Stanica” prowadził W. Lępkowski. Stowarzyszeniem Młodzieży Katolickiej kierowali ks. Montalbetti i M. Wroński. Studiująca młodzież należała do Polskiego Akademickiego Koła Tłumaczan. Działaczami koła byli: M. Nikosiewicz, K. Krauss i Rolewicz.

Młodzież w Tłumaczu wyżywała się w sporcie piłki nożnej. Polacy mieli trzy drużyny futbolowe: „Sokół”, „Strzelec” oraz „Harcercz”. Znanymi piłkarzami w mieście byli: Osowski, Kasperski, Kurczab, Sobczuk, Agopsowicz, W. Wysoczański, S. Simon, Rolewicz i Papiz.

Życie kulturalne Ukraińców w Tłumaczu ześrodkowało się w „Domu Narodnym”, w którym wybitnymi działaczami byli: dr I. Makuch i ks. I. Pławiuk. Tu miała swoją siedzibę Oświatowa organizacja „Proświta”, której czytelnią kierował W. Pawluk. Działo także Ukraińskie Towarzystwo Ridnej Szkoły, prezesem był Kisielewski. Kobiety ukraińskie należały do organizacji „Sojusz Ukrainek”. Młodzież ukraińską skupiała organizacja „Płastunów” i „Łuh”, której działaczami byli: dr Gudzio i W. Nestorowicz. Ukraińska młodzież posiadała również swoją drużynę futbolową, która w pierw nazywała się „Czajka”, a z czasem zmieniła nazwę na „Łuh” i grała w B klasie. Kapitanem tej drużyny był B. Listkiewicz, a działaczami: M. Ostap i W. Nestorowicz. Znanymi zawodnikami „Łuhu” byli: G. Humeniuk, M. Hajwanowicz, M. Bojczuk, S. Taraszczak, M. Moszewicz, P. Wysoczański.

Ludność żydowska w Tłumaczu stanowiła ponad 30% ogółu mieszkańców miasta. Zaraz po I wojnie światowej Żydzi tłumaccy założyli Narodowy Fundusz Żydowski. Poszczególne zawody takie jak: adwokaci, kupcy, młynarze mieli swoje stowarzyszenia i koła. Istniało w Tłumaczu Żydowskie Kółko Dramatyczne, w którym udzielali się: B. Dicker, B. Gotesman oraz S. i B. Streit. Żydzi – asymilatorzy wydawali pismo „Zgoda”.

Młodzież żydowska skupiona była w organizacjach o różnych orientacjach społeczno-politycznych. Syjoniści – rewizjoniści zorganizowali młodzież w oddziałach „Betar”. Była to organizacja paramilitarna, która odbywała ćwiczenia wojskowe na kursach w Tatarowie pod kierunkiem polskich oficerów. Prezesem jej był Sommer, a działacz tej organizacji, Wurman, został prezesem okręgu „Betar” na Małopolskę Wschodnią z siedzibą w Stanisławowie. Część młodzieży żydowskiej należała do Hashamer Hatzair i do organizacji młodzieżowej „Gordonia”, którą kierował inż. Bader. Akademicy żydowskiego pochodzenia stowarzyszeni byli w Akademickiej Organizacji Emuna – prezesem był L. Zaul. Młodzieżowa organizacja „Jugend” (kierownik Hönigsberg) założyła kółko sportowe „Gwiazda”. Na terenie Tłumacza istniały dwie żydowskie drużyny futbolowe: Hashmonea i Makkabi.

W Tłumaczu działało kilka partii politycznych. Z polskich partii dużo zwolenników miała Narodowa Demokracja, której prezesem był E. Deyczakowski, a wybitnymi działaczami: St. Mendrala, Kłodnicki, Czohara, Tuzinkiewicz. Prezesem Polskiego Stronnictwa Ludowego był dyr. Orliński, który z czasem został senatorem. Na czele BBWR (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem) stał M. Szankowski. Szereg zwolenników miała PPS – znanym działaczem tej partii był Osowski. Z partii ukraińskich licznych zwolenników miała Socjalistyczna Chłopska Partia Radykalna<sup>1)</sup>, na czele której stał dr I. Makuch, senator II RP. Również wielu zwolenników miało Ukraińskie Zjednoczenie Nacjonalno-

Demokratyczne tzw. UNDO. Działali w niej: ks. Pławiuk i dr Gudzio. Istniała również wśród Ukraińców nielegalna partia OUN (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów).

W Tłumaczu również w społeczeństwie żydowskim szeroko rozwinięte było życie polityczne. Partie żydowskie walczyły ze sobą o wpływy w Zarządzie Żydowskiej Gminy Wyznaniowej, tzw. kahale. Antagonistami były, jak podaje autor, partia Mizrachi i partia syjonistów. W Mizrachi działali Lane i Moskowicz. Do wybitnych działaczy syjonistycznych w Tłumaczu należeli m.in. J. Inslicht, Schwefelgeist, Redner, dr Rosenkranz i dr M. Halpern. W 1920 r. prezesem kahału został syjonista H. Nagelberg. W mieście działali również syjoniści – rewizjoniści. Tą partią kierowali dr Sallat i Wurman. W Tłumaczu istniała też żydowska partia lewicowa Bund, której aktywistami byli: S. Jung oraz Birbing.

W 1938 r. Tłumacz liczył 8374 mieszkańców. Mieszkało w nim: 3290 Polaków, 2884 Ukraińców, 2800 Żydów.

W tak zróżnicowanym pod względem narodowościowym i religijnym społeczeństwie które zamieszkiwało Kresy

Wschodnie zdarzały się czasem konflikty, ale ogólnie stosunki międzyludzkie układały się harmonijnie, z poszanowaniem wzajemnym odrębności narodowych i religijnych. Dopiero II wojna światowa i powojenny układ sił politycznych zmienił całkowicie stosunki panujące na Kresach, zarówno polityczne jak i narodowościowe. Tereny te po wojnie przypadły Związkowi Radzieckiemu. Polacy, którzy je zamieszkiwali, po ciężkich i bolesnych przejściach, jakich doznali ze strony obu okupantów oraz ze strony nacjonalistów ukraińskich zmuszeni zostali do opuszczenia swoich rodzinnych stron i rozpoczęcia życia gdzie indziej.

Tragiczny los spotkał społeczeństwo żydowskie, które podczas okupacji niemieckiej w zdecydowanej większości zostało zgładzone. Pozostała na miejscu ludność ukraińska też doznała, zwłaszcza po wojnie, wielu krzywd.

Tak przeminął świat zagończyków, chliborobów i chasydów.

Obecnie Tłumacz należy do państwa ukraińskiego.

1) *Być może, że chodzi tu o Ukraińską Partię Socjalistyczno-Radykalną (przyp. red.).*

(c.d.n.)

## Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

### Kronika – Calendarium miasta i powiatu tłumackiego (c.d.)

Michał Nikosiewicz

#### Rok 1933

W Dzienniku Województwa Stanisławowskiego podano 83 nazwiska osób z powiatu tłumackiego uchylających się od spełnienia obowiązku służby wojskowej.

Długoletni dyrektor gimnazjum w Tłumaczu prof. Stanisław Mendrala został spensjonowany.

Prof. Józef Follprecht z Tłumacza został mianowany inspektorem szkolnym w Stanisławie (Tłumacz należy do stanisławowskiego Inspektoratu Szkolnego).

Tłumacz opuścili profesorowie: M. Kędzior i T. Poźniak. Do gimnazjum tłumackiego przybył prof. Walerian Erhlich.

Kierowniczką 7-klasowej Szkoły Powszechnej Żeńskiej w Tłumaczu mianowana została Olga Wiszniewska.

W budynku seminaryjnym otwarto Prywatne Gimnazjum Żeńskie. Szkole nadano imię Marii Piłsudskiej – Matki Marszałka. Dyrektorem jest prof. Rzerzychowa. W Seminarium jest już tylko kurs III-V. Maturę w tym roku składało 14 uczennic.

Szkoła Ćwiczeń z 4-klasowej przekształca się w szkołę 6-klasową.

Przedszkole prowadzi s. Serafina Staszak.

Naczelnik Urzędu Skarbowego Kajetan Nikosiewicz przeszedł w stan spoczynku.

Sekcja strzelecka „Sokoła” przeprowadziła zawody na odznakę strzelecką.

Na starym cmentarzu w Tłumaczu przy ul. Kolejowej zachował się grób Miromaka Bazylego, który zginął w 1809 r. (okres wojen napoleońskich) oraz dwa groby z 1863 r. – Jarosława Odyńca i Józefa Sowińskiego.

Wydział Powiatowy zatrudnił instruktora Straży Pożarnej W. Sorokę.

Zawodowa Straż Pożarna istnieje w Tłumaczu od 1891 r. Zatrudnia ona 7 osób. Wyposażona jest w 2 ręczne sikawki

na podwoziach. Wodę pobiera się z rzeczki Tłumaczyk i ze studzien (z czasem zbudowano na błoniach basen, ale z uwagi na dużą odległość były trudności z jego korzystania).

W Tłumaczu istnieje również Ochotnicza Straż Pożarna. W wojewódzkich zawodach strażackich OSP z Tłumacza zajęła I miejsce (w sikawkach ręcznych), OSP z Tyśmienicy III, a z Otyunii IV miejsce.

W mieście odbyły się uroczystości z okazji 19 rocznicy wymarszu I Kadrowej. W pierwszym dniu był capstrzyk z orkiestrą, ognisko, przemówienia (przemawiali: starosta Świątkowski, Chranowski i Bryła) oraz ślubowanie.

W następnym dniu (6 VIII) odprawione zostało nabożeństwo, później odbyła się defilada i zawody strzeleckie o odznakę.

27 VIII Odprawa strzelecka prezesów, komendantów i referentów wychowania obywatelskiego.

Dotychczasowy komisarz P.P. z Tłumacza Stefani został przeniesiony do Śniatynia, a na jego miejsce przyszedł insp. Gleitz.

Posterunkowy P.P. Marian Dominików został ciężko ranny przez bandytę Lewickiego (bandytę złapano osądzono i powieszono).

W Oleszy chłopci pobili członków Komitetu Lasowego (o serwituty).

#### Rok 1934

W Tłumaczu istnieje 10 punktów sprzedaży alkoholu z wyszynkiem, a w powiecie 46 punktów. Bez wyszynku jest 14 punktów. (Stanisławowski Dziennik Wojewódzki z dn. 5 II 1934 r.)

Na emeryturę odszedł kierownik szkoły powszechnej Marceli Molisak.

W wojewódzkim konkursie modeli latających wyróżnienie otrzymali uczestnicy z Tłumacza (gimnazjum) i z Otyunii.

10 V W Tłumaczu odbyło się święto PW i WF „Strzelca”: nabożeństwo, defilada. Wręczono Państwowe Odznaki Sportowe 24 pracownikom umysłowym.

Walny Zjazd delegatów Związku Strzeleckiego. W wyniku wyborów prezesem został dr Stefan Poll (rejent), viceprezesem Leon Seidler (burmistrz), sekretarzem Michał Dębiec, skarbnikiem Michał Kupras. Do Zarządu weszli: Rzerzycha, Żabierzowski, Maria Nikosiewicz, Jeżowski, Deyczakowski, Kłodnicki, Gabański, N. Nikosiewicz, Mo-szoro.

W Bratyszowie rozkopano mogiłę scytyjską zawierającą 6 grobów (700 lat przed naszą erą). Znalaziono w niej lusterko scytyjskie (jedyne w Polsce) złote kolczyki, korale, strzały, naczynia gliniane. Wykopaliska prowadził prof. U J K Sulimirski.

W gminie Gruszka Iwan Moroz i Mikołaj Rybel zorganizowali akcję antyszkolną. Za ich namową ukraińskie dzieci wrywały z książek ryciny przedstawiające dostojników państwowych, nie chcieli śpiewać polskich pieśni, ani pisać zadań w języku polskim, domagając się nauczania w szkole w języku ukraińskim.

Podczas robót ziemnych w Łokutkach znaleziono szczątki kości zwierząt przedpotopowych – częściowo skamieniałych. Zdeponowano je w gimnazjalnym gabinecie w Tłumaczu.

Wykryto nielegalny handel nie-monopolowy solą, którą kupcy nabywali od chłopców z okolic Delatyna.

Zarząd Miejski wpadł na ślad nadużyć: handlarze bydła wysłali kilka wagonów cieląt pod fałszywą deklaracją rzeźni.

20 X 1934 r. odbyło się uroczyste poświęcenie wmurowanej na budynku seminaryjnym pamiątkowej tablicy ku czci Marii z Billewiczów Piłsudskiej w 50 rocznicę Jej śmierci. Treść napisu na tablicy: „Ku czci Matki-Spartanki, Matki-Polki w 50 rocznicę śmierci śp. Marji z Billewiczów Piłsudskiej. Wielkiej Patriotki – Matki Wodza Narodu Marszałka Józefa Piłsudskiego, urabiającej duszę bohaterskiego Syna do walki o Niepodległość Ojczyzny aż do zwycięstwa Idei i Czynu. 1884 – 1934.”

W seminarium i gimnazjum żeńskim w roku szkolnym 1934/35 w gronie nauczycielskim są tłumaczanki: Julia Czoharzanka, Anna Gabańska, Eugenia Kulczycka i Adolfina Siudakówna.

Rada Miejska w Tyśmienicy powzięła uchwałę o przemianowaniu ulicy Kolejowej na ulicę Marszałka Piłsudskiego.

Członkowie tłumackiego „Gniazda” – Sokół wzięli udział w uroczystościach „Złotych Godów”, które odbyły się w Stanisławowie w siedzibie Sokoła nr 1.

W Tyśmienicy powstała drużyna im. T. Kościuszki (w 1936 r. drużyna została rozwiązana).

Urzędnik skarbowy Schreiber wybrany burmistrzem Tyśmienicy.

Dyrektorem gimnazjum w Tłumaczu został prof. Ksawery Bułkowski.

(c.d.n.)

## Ulice Tłumacza i ich mieszkańcy (c. d.)

Ks. Lesław Jeżowski

Opuśćmy teraz park i wróćmy na ulicę Trzeciego Maja, podążając jej prawą stroną w kierunku Kościelnej i skrzyżowania z ulicą Piłsudskiego. Nie było tu chodnika z płyt kamiennych, lecz twardo ubita ziemia. Przy niej ciągnęło się siatkowe ogrodzenie parku. Mniej więcej w połowie jego długości stał, jakby wepchnięty w park, jednopomieszczeniowy domek, w którym w 1930 r. mieścił się sklepik samorządu uczniów gimnazjalnych. Jak napisałem, działał on później na parterze budynku gimnazjum. Za jakiś czas w domku tym otworzyła własny sklep p. Kornelukowa, a może Kadajska.

Ogrodzenie parkowe kończyło się przy obszernym, parterowym domu p. Salata. Znajdowała się w nim kancelaria adwokacka właściciela, która z ojca przeszła na syna, Salata juniora, który często chodził ulicami. Łysawy blondyn, niski i rumiany rozmawiał ze swoimi klientami, przeważnie okolicznymi chłopami. Przylegającą do parku zachodnią część domu wynajmował lokatorom. Zapamiętałem dwie rodziny, które tam mieszkały. Karola Ardla, mego nauczyciela matematyki, robót ręcznych a zarazem opiekuna mojej trzeciej klasy w roku 1932/33, który później przeprowadził się na ul. Słowackiego do domu p. Francowej oraz następców Ardłów, Jelonków. P. Jelonek był dymisjonowanym porucznikiem WP. Nie wiem, czy w Tłumaczu gdzieś stale pracował. Być może utrzymywał się z wojskowej renty inwalidzkiej. Nie wykluczone bowiem, że to na wojnie stracił oko. Stale miał je zakryte czarną przepaską. Chodził przeważnie w mundurze. Miał dwóch synów. Starszy, Zbigniew, przez kilka lat lub krócej był moim klasowym kolegą. Za jakiś czas Jelonkowie wyprowadzili się z Tłumacza.

Za domem Salata, przez jego ogród wiodło na skróty przejście do Sądu Grodzkiego. Za nim w parterowym, niepokaznym domu prowadził zakład szklarski p. Krumm.

Krumm był szklarzem. W Tłumaczu pracowali również inni szklarze, ale Krumm był najbardziej znany również i z tego powodu, że mieszkał przy pryncypalnej ulicy. Trzymając pod pachą ramę okienną, a w drugiej ręce naczynie z kitem i narzędziami, zmierzał często do mieszkań, które wymagały jego pomocy. Przerzedzone rudawe włosy zawsze przykrywał czarnym kapeluszem, spod bluzy wystawały mu frędzle modlitewnego „tallit”, który stawał się widoczny, gdy rozchylił się czarny, bardzo zużyty i poplamiony kitel. Krumm miał kalekie stopy, zwrócone na zewnątrz, które utrudniały mu chodzenie. Rozmowny i wesoły cieszył się sympatią zwłaszcza młodzieży.

Za Krummem stał jeszcze jeden podobny domek, a dalej, też parterowy, ale z drewnianą werandą oszkloną, ukośnie zwrócony już trochę w stronę ulicy Piłsudskiego, miał pod swoim dachem dwie dalsze kancelarie adwokackie. Może Schächtera i Steinberga, może Rosenkranza i Halperna. W Tłumaczu tych kancelarii działało sporo. Niemal wszystkie żydowskie. Nie przypominam sobie żadnego polskiego adwokata. Jeżeli w niewielkim mieście mogło się nieźle żyć tyłu obrońcom prawnym, oznacza to, że musiało w nim kwitnąć pieniądze, szczególnie w powiecie. Mecenasi siedzieli przeważnie w swoich kancelariach, a ich żony chętnie zażywały przechadzek po ulicach tłumackich. Ulubioną trasą spacerową była ulica Słowackiego. Dlatego z widzenia znałem chyba wszystkie tłumackie adwokatowe, ale po nazwisku zaledwie dwie.

Za wymienionym wyżej domem zaczynała się już ulica Piłsudskiego, więc pora przejść na drugą stronę Trzeciego Maja i wracać nią w stronę budynku Sokoła. Ta strona rozpoczynała się drewnianym krzyżem, który stał w miniaturowym, ogrodzonym ogródku wciśniętym między kamienicę Czechowicza, leżącą już przy ulicy Kościelnej, a posesją Schwefelgeista. W niej w dobudowanej do restauracji jednopiętrowej części, znajdowała się jedna z dwóch księgarni tłumackich należąca do Schwefelgeista-juniora, Bunia. Za ladą stała przeważnie jego żona, jak on sam jeszcze młoda. Oprócz artykułów piśmienniczych, księgarnia „Wiedza” posiadała także wypożyczalnię książek, z której często korzystałem, dzięki znajomości z jej właścicielami. Bardzo dużo, właściwie za dużo wówczas czytałem, wprost pochłaniałem książki, prawdopodobnie ze szkodą dla nauki. Biblioteka gimnazjalna, prywatne księgozbiory nie wystarczały mi. Obydwoje młodzi Schwefelgeistowie lubili ze mną rozmawiać i wypytywać się o domowe sprawy mojej rodziny.

Bezpośrednio do „Wiedzy” przylegał jednopiętrowy też budynek z restauracją na parterze i pokojami mieszkalnymi na piętrze, szumnie nazwany „Hotelem Europejskim”, należący do Schwefelgeista-seniora, Leona. Był on w Tłumaczu bardzo znany, za burmistrzostwa p. Szankowskiego zastępował go, udzielał się społecznie. Towarzyski i grzeczny miał zawsze w swoim lokalu gości, którzy nie mogli narzekać na kuchnię i napoje. W okresie międzywojennym odbył podróż do Palestyny, skąd znajomym chrześcijanom przywiózł drobne upominki. Nie skąpił grosza na cele publiczne. Pozostawał w poprawnych stosunkach z władzami powiatowymi.

Za budynkiem restauracyjnym był dziedziniec, na który zajeżdżały wiejskie wozy, czasem inne pojazdy, głębiej stał budynek jeszcze z pewną ilością pokoi hotelowych. Jeżeli hotel Schwefelgeista nie był jedyny w Tłumaczu, to na pewno największy. W nim zamieszkał na czas swego pobytu w Tłumaczu, a trwał on mniej więcej rok, dr Jacek Jedliński, który w pewnych klasach uczył w gimnazjum, a może i w seminarium języka polskiego. Był to bardzo miły, kulturalny człowiek, pobożny, bywał i w dni powszednie w kościele. Na akademiach z okazji szczególnych świąt religijnych, jak np. św. Stanisława Kostki, wygłaszał referaty. Brunet w okularach, dobrze się prezentujący.

Do podwórza Schwefelgeista przylegała piętrowa kamienica, którą właściciel odnajmował urzędowi pocztowemu. Z ulicy Trzeciego Maja po stopniach wchodziło się na parter, do niewielkiego vestibulu, w którego ścianach znajdowały się okienka w drewnianych, ciemnych obramowaniach, a za nimi urzędnicy. Interesantów przy okienku kasowym załatwiała wspomniana już p. Wiktoria Tyrchówna, listy przyjmowali w swoich okienkach pp. Zank i Agopsowicz, a kto paczki – już nie pamiętam. W jednej ze ścian znajdowały się drzwi prowadzące do kabiny telefonicznej. Przy końcu lat trzydziestych na pocztę przybył jeszcze jeden urzędnik, p. Tabiński. Może na miejsce p. Zanka, który przeszedł w stan spoczynku, a może nawet zmarł. Tu mi pamięć nie dopisuje.

Od podwórza kamienicy znajdowały się pomieszczenia dla listonoszów i przechowywania przesyłek. Listonosz doręczający korespondencję w centrum miasta nazywał się Siennicki. Młody i tłuźny, tak jak inni listonosze chodzący zawsze w pocztowym mundurze i służbowej czapce. Do pomieszczenia kasowego przylegał pokój naczelnika urzędu, p. Antoniego Moszory. Mieszkał on wraz ze swoją rodziną na piętrze. Z pochodzenia Ormianin, wyróżniał się oryginalną, orientalną urodą i gęstymi, bardzo szpakowaty-

mi, niemal siwymi włosami zaczesywanymi do góry. Należał do Sokoła i innych organizacji. Z przekonania był polskim patriotą, poczuwającym się równocześnie do zachowania więzi ze wspólnotą ormiańską. Np. gdy w grudniu 1938 r. zmarł we Lwowie arcybiskup obrządku ormiańsko-katolickiego, Józef Teodorowicz, pojechał na jego pogrzeb i brał udział we wszystkich ceremoniach. Otrzymywał ze Lwowa czasopisma wydawane przez Ormian.

Jego żona, szczupła, ciemna blondynka, chorowała trochę na oczy. Była przeciążoną obowiązkami rodzinnymi i domowymi. Moszorowie posiadali pięcioro dzieci. Najstarszy syn, Andrzej, brunet w okularach, po złożeniu matury na początku lat trzydziestych, jakiś czas, zdaje się, pozostawał bez zajęcia, później zatrudnił się na poczcie. Był bardzo wrażliwy, być może po matce, ruchy wykonywał nerwowo. Średni, Antoni, nie ukończył gimnazjum, ale gdzieś poza Tłumaczem rozpoczął naukę w szkole kształcącej przyszłych leśniczych. Najmłodszy, Wartan-Walerian, blondyn jak Antoni, rozpoczął w 1930 r. naukę w gimnazjum. Siedzieliśmy w jednej ławce i serdecznie przyjaźnili. Może po trzeciej, może po czwartej klasie przeniósł się do Lwowa, do szkoły kadeckiej. Podczas wszystkich ferii przyjeżdżał do domu w swoim efektownym mundurze, zwracając na siebie uwagę przechodniów.

Starsza córka Moszorów, prawdopodobnie w ogóle najstarsze ich dziecko, była niedorozwinięta umysłowo. Niska, otyła spotykała się ze szczególną troską rodziców. Młodsza, Zofia, podobna do matki, uczęszczała do gimnazjum. Moszorowie w latach dwudziestych przybyli do Tłumacza z Horodenki i tu pozostawali aż do wysiedlenia Polaków po zakończeniu wojny.

Po opuszczeniu Tłumacza przez Karola Ardla, jego funkcje nauczyciela matematyki przejął wspomniany już Walerian Ehrlich, który wraz z żoną i córką uczęszczającą do szkoły powszechnej, zamieszkał w kamienicy zajmowanej przez pocztę lub w sąsiedniej. Był wysoki, bardzo tegi, toteż przy nim p. Ehrlichowa wyglądała jeszcze na mniejszą i drobniejszą niż była w rzeczywistości. Prof. Ehrlich dobrze znał przedmioty, których nas uczył, tzn. matematykę, geometrię i fizykę, wymagał dużo, ale zbytniej pociechy nie miał ze swoich uczniów. Szczególnie fizyka przychodziła im z wielkim trudem, bo dopominała się dobrej znajomości wyższej matematyki. Tymczasem i z tą zwykłą miewali niemałe kłopoty. Ogół gimnazjalistów nastawiał się na nauki humanistyczne, a nie ścisłe. P. Ehrlich stawiał stopnie surowe, ale sprawiedliwe. Oczarować go znanymi szkolnymi sposobami okazywało się niemożliwe. Podobnie jak inni nauczyciele nie pochodzący z Tłumacza, bądź nie ożenieni z tłumaczankami, nie utrzymywał z miejscowymi obywatelami stosunków towarzyskich.

Wyglądający na okaz zdrowia, p. Ehrlich chorował na gruźlicę, o czym nikt nie wiedział. W roku szkolnym 1938/39 musiał poddać się leczeniu w Hołoskowie pod Lwowem, gdzie też zmarł.

Do budynku pocztowego przytykała dalsza kamienica, na której parterze znajdowały się lokale sklepowe. W jednym z nich p. Piotrowski, stary organista, uczący nas przez jakiś czas śpiewu, i przez uczniów przezwany „śpiłka”, sprzedawał wraz ze swoim zięciem słodycze. Ale że ich wybór był skromny, a ceny wyższe niż gdzie indziej, musiał zrezygnować z kupiectwa. Kto został jego następcą, czy w ogóle ten sklep później egzystował – nie pamiętam. Nie pamiętam też, kto mieszkał na piętrze tej kamienicy.



Dochodzimy do dużej niezabudowanej parceli ogrodzonej siatką, za którą widniały krzewy i grządki z warzywami i kwiatami. Tworzyła ona narożnik ulicy Trzeciego Maja i tej, która skręcała tu na prawo i należała do posesji Seminarium Nauczycielskiego. Jego budynek był pierwszy po prawej stronie wspomnianej ulicy. Miał dwa piętra. Nie wiem dokładnie czyją stanowił hipoteczną własność, ale rządził nim ks. proboszcz Edward Tabaczkowski. Na parterze mieścił się bank założony przez niego o nazwie: Bank Spółdzielczy Katolickiego Związku Samopomocy (?), a po drugiej stronie głównego wejścia do budynku – mleczarnia ruskiego Masłosojuzu. Ta mleczarnia świetnie prosperowała, zawsze można było w niej kupić nabiał dobrego gatunku. Poważniejszej konkurencji w mieście nie posiadała.

Pozostałe pomieszczenia w budynku zajmowały przede wszystkim Seminarium Nauczycielskie Żeńskie, szkoła ćwiczeń przy nim, mieszkanie Sióstr de Notre Dame i kaplica. W ćwiczeniówce uczyły m.in. Maria Godymirska, Czoharówna, siostra prokuratora, której nazwisko zapomniałem. Wymienione szkoły podlegały Towarzystwu Nauki Chrześcijańskiej, które ks. Tabaczkowski utworzył w 1924 r. Najczęściej bywałem w kaplicy znajdującej się na drugim piętrze, której dwa okna wychodziły na ulicę. W niej nasz katecheta gimnazjalny, ks. Witkowski codziennie odprawiał Mszę św., w której uczestniczyły zakonnice, ich dwie kandydatki i kilka dziewcząt. Ministrowałem albo sam, albo w towarzystwie jakiegoś kolegi, zwłaszcza Bilińskiego, który przychodził tu wraz z księdzem, gdy ten wyprowadził się z domu położonego naprzeciw Seminarium i zamieszkał w bursie przy ulicy Kolinieckiej. Korytarze budynku ciągnące się między salami klasowymi i sypialniami internistek zdobyły rozmaite plansze i ryciny oraz religijne aforyzmy i wezwania. Nie pamiętam, co mieściło się w tej kamienicy, gdy po utworzeniu w gimnazjum koedukacji, Seminarium przestało istnieć z powodu braku uczennic, a zakonnice, jak to wcześniej napisałem, wraz z internistkami przeprowadziły się do domu Zoubków przy ulicy Słowackiego.

Ale jeszcze podczas działalności Seminarium, dzięki staraniom ks. Tabaczkowskiego, wmurowano we frontową ścianę tablicę ku czci Marii z Billewiczów Piłsudskiej, matki Marszałka.

W obszernym ogrodzie dotykającym budynku seminaryjnego od północy stał duży, parterowy dom zamieszkały przez rodzinę Nikosiewiczów, p. Krasucką i p. Annę Szankowską. Pan K. Nikosiewicz, szczupły, z zarostem na twarzy, był naczelnikiem Urzędu Skarbowego przed objęciem tego stanowiska przez Kurpasa. Jak wielu innych, przypomnianych już przeze mnie, tłumaczan, na uroczystościach państwowych występował w mundurze sokolim. Z pochodzenia był Ormianinem. Nikosiewiczowie mieli dwoje dzieci. Syn, Michał, studiował w początkach lat trzydziestych medycynę, córka – filozofię. Rodzeństwo bardzo się lubiło, odbywało wspólne wycieczki po całej Polsce.

Panią Krasucką, zdaje się – właścicielką domu, słabo pamiętam; o ile się nie mylę, była emerytowaną nauczycielką. Natomiast w doskonałej pamięci zachowałem panią Annę Szankowską, też była nauczycielką. Rozłożysta w biodrach, ale szczupła na twarzy, podobnie jak jej brat, rumiana, mimo siwych włosów upiętych w kok na tyle głowy, zachowała młodzieńczy humor i zamiłowanie do dowcipów, którymi lubiła zabawiać swoje towarzystwo. I jako długoletnia nauczycielka mająca wielu dorosłych już uczniów i jako siostra burmistrza i aptekarza, pochodząca z dobrze znanej rodziny bywała w licznych tłumackich domach.

Jakiś czas mieszkała u p. Krasuckiej nasza gimnazjalna nauczycielka historii i geografii, p. Haubrichówna, Lwówianka. Młoda, miła i dbająca o swój wygląd podobała się chłopcom, którzy przy nadarzających się okazjach chętnie z nią rozmawiali i cieszyli się, gdy mogli zaglądnąć do jej pokoju. Od czasu do czasu przyjeżdżał do niej ze Lwowa narzeczony, za którego wnet wyszła za mąż. Odtąd nazywała się już Krokerowa.

Ogród p. Krasuckiej przechodził w pole zasiewane zbożem, przez które można się było dostać na podwórze domu ukraińskiej „Proświty”, leżącego przy ulicy Grunwaldzkiej.

Przy końcu pola, w narożnym, małym domu mieszkali pp. Hofmannowie. Głowa rodziny był urzędnikiem, dwóch jego synów, Zenon i Tadeusz, oraz córka w okresie międzywojennym chodzili do gimnazjum i należeli do harcerstwa.

Do posesji Hofmannów przylegał jeszcze mniejszy dom, w którym mieścił się warsztat mechaniczny, prawdopodobnie Wurzla.

Na wolnej, sąsiedniej parceli wybudował jednopiętrową kamienicę w drugiej połowie lat trzydziestych notariusz Grabowiecki, następca Polla. Był ożeniony z nauczycielką w Łokutkach lub Pałahiczach. Mieli dwie dziewczynki. Obydwój Grabowieccy odznaczali się wielką religijnością, nie brakowało ich niemal na żadnym nabożeństwie kościelnym. Jakby w uznaniu ich postawy katolickiej, p. Dolaisowa zapraszała również ich do ławki kolatorskiej.

Na piętrze kamienicy Grabowieckiego mieszkał kolejny starosta powiatowy, Józef Kalata, doktor praw, który z Urzędu Wojewódzkiego w Stanisławowie przyszedł do Tłumacza po odwołaniu starosty Skłodowskiego. Średniego wzrostu, brunet za okularami był ożeniony ze stanisławowianką. Mieli jedną córkę uczęszczającą do szkoły powszechnej.

Ostatnia przy tej ulicy kamienica, mniejsza i skromniejsza od Grabowieckich, należała do ks. Tabaczkowskiego. Na jej piętrze mieścił się PZUW i na piętrze mieszkał jej kierownik, p. Zabierzewski, z żoną, córką i teściami Zaleskimi. Córka nazywała się Pellerówna, pochodziła z pierwszego małżeństwa swej matki. Chodziła do klasy niższej ode mnie do gimnazjum. Ładna blondynka była sympatią jednego ucznia, ale sama uznawała tylko towarzystwo koleżanek.

Zdaje się, że p. Zaleski przed przeprowadzeniem się do Tłumacza miał coś do czynienia z teatrem w jakimś dużym mieście, może sam był aktorem. W każdym razie w Tłumaczu utworzył amatorski zespół teatralny „Zeter”, którego był stałym reżyserem. poproszony, reżyserował też przedstawienia innych amatorów sceny. „Zeter” produkował się z okazji świąt państwowych i rocznic narodowych, ale czasem występował bez związku z nimi. Praca p. Zaleskiego dawała rezultaty, jego spektakle wykazywały niezły poziom, a gra aktorów przypominała aktorów zawodowych. W mojej pamięci zapisali się zwłaszcza p. Issakiewiczowa, już wcześniej wspomniana, p. Wiśniewski, Mierzwiński, Macek, sami nauczyciele. Opracowywanie tekstu sztuk, dokonywanie scenicznych prób trwało długo. Tym bardziej szkoda, że amatorzy scenicznego występowania mogli właściwie tylko raz pokazać publiczności rezultat swojej pracy. Prawie nie zdarzało się, aby jakaś sztuka była odegrana dwukrotnie. Prawdopodobnie nikt by już wtedy nie przyszedł ją zobaczyć.

Po kilkuletnim pobycie w Tłumaczu pp. Zabierzewscy i Zalescy przenieśli się gdzie indziej, wydaje się mi, że do Lwowa. „Zeter” przestał istnieć. W kamienicy ks. Tabacz-

kowskiego zamieszkali inni lokatorzy, a wśród nich p. Olga Skibniewska, polonistka naszego gimnazjum. Pochodziła z ziemiejskiej rodziny spod Przemysła, jej bratem był benedyktyn, O. Mateusz. Niezameżna, nie pierwszej już młodości, blondynka, czesała się do góry, posiadała cienki, dosyć długi nos i też długie zęby, które ukazywała w uśmiechu. Serio traktowała swoje obowiązki nauczycielskie i wychowawcze, starała się sumiennie przekazać uczniom potrzebną im wiedzę. Niemal każdy z profesorów gimnazjalnych miał swoje przewisko. Do pani doktor Skibniewskiej przylgnęło – „pibra”. Wzięło się ono stąd, że raz w dzienniku lekcyjnym, w rubryce uwagi, wpisała, że brak jest pióra, które miało zawsze znajdować się na nauczycielskim stole, zwanym katedrą. W słowie – „pióra” p. Skibniewska literę „ó” skreśliła bardzo podobną do „b”, i dlatego zaczęto odtąd nazywać ją „pibra”

W roku szkolnym 1934/35 p. Skibniewska opiekowała się moją piątą klasą, po p. Rzerzysze, a przed p. Zubrzc-

kim. jakieś szczególne, skuteczne formy tej działalności nie pozostały w pamięci je jwychowanków. Ale trudno zapomnieć jej predylekcję powierzania odmówienia modlitwy w klasie stale jednemu uczniowi. W początkowych klasach gimnazjalnych odmawialiśmy modlitwę przed rozpoczęciem nauki i po ostatniej godzinie lekcyjnej – wspólnie. Później, gdy dotychczasowy pacierz został zastąpiony modlitwą do Ducha św., odmawiał ją jeden z nas. Gdy np. p. Skibniewska miała pierwszą lub ostatnią godzinę w klasie, zawsze wzywała do jej odmówienia słowami: pacierz, proszę. Jeżeli nikt go nie zaczynał, dodawała: Biliński, proszę. Posłuszny temu wezwaniu, mój kolega pobożnie odmawiał przepisaną modlitwę. Wspólne odmawianie całego pacierza utrzymało się tylko na lekcjach religii.

Doceniając walory umysłowe i duchowe p. Skibniewskiej, dziwiłem się, że nikt jej się dotąd nie oświadczył, nawet żaden tłumaczanin (c.d.n.)

## Dzieje gimnazjum w Tłumaczu

*Zapiski nieznanego gimnazjalisty (ze zbiorów M. Nikosiewicza)*

Wieść głosiła, że swoje gimnazjum zawdzięcza Tłumacz przypadkowi. Otóż kandydat do sejmu galicyjskiego<sup>1)</sup>, chcąc sobie pozyskać w wyborach głosu tłumaczan, obiecał, że jeżeli zostanie wybrany, postara się o założenie w Tłumaczu państwowego gimnazjum. Obietnicy swej - o dziwo - dotrzymał i w 1910 roku otwarte zostały przed tłumacką młodzieżą podwoje gimnazjum. Faktem było, że kiedykolwiek zapytany o to, mówiłem, że jestem uczniem gimnazjum w Tłumaczu, reakcja była taka: „Tłumacz ma państwowe gimnazjum? Taka dziura? To niemożliwe.” Istotnie, wiele, znacznie nawet większych, miast nie mogło się tym pochwalić.

Tłumacz oznaczony był na mapie (jeżeli to się w ogóle zdarzało, bo często go w ogóle na mapie nie było) kółeczkiem przeznaczonym dla miast od 5 do 10 tysięcy mieszkańców (dla mnie oznaczało to oczywiście „dziesięć tysięcy”, choć pamiętam, że mój ojciec, nie mający moich złudzeń, utrzymywał zawsze, że jest ich tylko siedem), był stolicą powiatu, do którego, oprócz okolicznych wsi, należały jeszcze trzy mniejsze miasteczka – Otnia, Niżniów i, największa z nich, Tyśmienica.

Może nie wszyscy znają legendę o tym, jak powstały nazwy tych miast. Otóż podobno szli kiedyś piechotą ze Stanisławowa dwaj ubodzy szlachcice. Po drodze pokłócili się ze sobą i jeden drugiemu, w złości, powiedział: „O, tyś mnie nie”. Nie mógł tego znieść jego przyjaciel i po pewnym czasie, w dalszej drodze, po jakim takim strawieniu tej obelgi, zażądał: „tłumacz”, to jest, ażeby się przed nim ze swojego zachowania wytłumaczył. Wysłuchawszy jednakże tego tłumaczenia, nie uznał je za wystarczające i rozżalony krzyknął: „O, ty nie ja”, to znaczy „ja bym ci tego nie zrobił”. W tych miejscach powstały trzy miasta, Tyśmienica, Tłumacz i Otnia.

Wracając do gimnazjum trzeba to powiedzieć otwarcie, że kandydatów do gimnazjum nie zawsze było wielu. W mojej klasie np., która gimnazjalne studia zaczęła w roku 1929, było nas, w pierwszej klasie, tylko 22 (na początku roku szkolnego, z końcem było już mniej), a z nich do

matury w przepisany czas dotarło zaledwie 8. Razem z przyjętymi później, do wyższych klas, oraz z „repentami” z innych klas, którzy uzupełnili nasz „stan osobowy”, doszło nas do matury „aż” 19, ale z tego tylko część niewielka już przy pierwszym „starcie” przez maturę przeszła, reszta musiała ją powtarzać po pół, albo nawet po całym roku. Matura ta, której przewodniczył nie nasz własny ówczesny dyrektor, Ksawery Bułkowski, ale wyznaczony przez kuratorium lwowskie dyrektor gimnazjum w Buczaczu, Jan Szajter, była prawdziwą „rzezią niewiniątek”. Miała nasza klasa co prawda swój okres świetności, kiedy (w IV klasie) było nas aż 48, ale na krótko. Powodem tego nagłego skoku było, że do IV klasy przyjmowano absolwentów 7-miu pełnych klas szkoły powszechnej, którzy z pewnych powodów nie przeszli do szkoły średniej po klasie IV, jak to było w zwyczaju. Opłata za tzw. „czesne”, czyli „taksa” była zbyt wysoka widocznie dla mieszkańców Tłumacza i okolic. To też było chyba głównym powodem tak małej liczby uczniów, jak również stopniowego „odsiewu” w ciągu ośmiu lat nauki. Pamiętam np., że o jedną klasę wyżej od mojej było ich w 1929/30 roku tylko dziesięciu. Znaczną część uczniów stanowiły zresztą, obok tłumaczan, dzieci mieszkańców dalszych okolic. Często powtarzały się jako miejsce ich stałego zamieszkania: Nadwórna, Horodenka, Obertyn, Kołomyja, Monasterzyska, a nawet Kałusz i Borysław. Uzupełniał nasz kontyngent również wojewódzki Stanisławów, pomimo swoich własnych trzech państwowych gimnazjów męskich, nie licząc prywatnych i żeńskich. A powody były różne – ale nie tu miejsce na ich roztrząsanie.

Uczniowie innych gimnazjów, np. stanisławowskich, traktowali gimnazjum nasze z pewną wyższością, jeżeli nie pogardą. Zdarzało się bowiem, że zawiedzeni w swoich nadziejach uczniowie (a raczej ich rodzice), którym z różnych powodów „nie poszło” w innych gimnazjach, przyjmowani bywali do tłumackiego, gdzie ówczesny dyrektor, p. Stanisław Mendrala, słynął z liberalizmu w tym względzie i przyjmował bez większych trudności, wiedziony troską o wypełnienie pustych do połowy sal szkolnych. Aluzje do

rzekomej różnicy poziomów (na niekorzyść tłumackiego gimnazjum oczywiście) były jednak – jak miałem wiele okazji w późniejszym moim życiu przekonać się – nie tylko nie uzasadnione, ale wręcz krzywdzące. Miałem i mam znajomych – absolwentów różnych szkół, włącznie ze stołecznymi warszawskimi i niejednokrotnie z dumą myślę – mając okazję porównania się z nimi – o tym, jakich doskonałych nauczycieli miała ta skromna szkoła w naszym małym mieście. To mię ostatecznie skłoniło do napisania tych krótkich wspomnień – ażeby zachowała się gdzieś skromna przynajmniej pamięć o tych ludziach, którym tyle zawdzięczamy.

A więc w pamiętnym 1929 roku zostałem – po skutecznym zdaniu egzaminie wstępnym – przyjęty do I klasy, i nikt chyba nie potrafi dzisiaj, kiedy taki fakt uważany jest za zupełnie naturalny – zrozumieć tej dumy z jaką paradowałem w mundurku (w odróżnieniu od wielu innych gimnazjów mieliśmy swoje własne mundurki na długo zanim zostały – inne zresztą – wprowadzone jako obowiązkowe w całej Polsce) ze srebrnym (jednym!) paskiem na kołnierzyku i z żabotem pod nim – dla elegancji oczywiście, ale – trzeba to wyznać – również z troski, żeby szyja się za bardzo nie brudziła od kołnierzyka. Zaraz też wysłała mnie moja matka do miejscowego fotografa, żeby mnie w tym mundurku uwiecznił.

Z dużym strachem przekroczyłem próg I klasy we wrześniu 1929 r., ale szybko się jakoś do nowej rzeczywistości przyzwyczaiłem. Opiekunem czy też wychowawcą (wtedy nazywało się to u nas „gospodarzem klasy”) był germanista, dr Leon Mauser, który poza tym, że znał również angielski, żywił iluzję, że posiada piękny głos. Jasne, że tę jego słabość wyzyskiwaliśmy, ile się dało, i czasem dawał się na to nabierać. W takich pięknych chwilach śpiewał nam, oczywiście po niemiecku, w ramach lekcji języka niemieckiego, ludową piosenkę o bohaterze tyrolskim, Andrease Hoferze, albo inną, do słów wiersza Heinego „Asra”. To był jego stały repertuar. Były to chwile niezapomniane i znaczna część „godziny” szła na „straty”. Niejeden z nas, dzięki temu uniknął zapisu w groźnym czarnym notesie.

Wyszukiwanie takich słabych punktów naszych nauczycieli stało się specjalnością niektórych z nas, zwłaszcza tych szczególnie zagrożonych. Między innymi, znacznie już później, w wyższych klasach, po dowiedzeniu się, że nasz ówczesny matematyk, Walerian Ehrlich, był w czasie wojny w niewoli na egzotycznym, groźnym Sybirze, umiejętnie pokierowanie wstępną rozmową i błagalną prośbą: „A może nam pan profesor opowie coś o Syberii” doprowadzał niechybnie do pięknego momentu, kiedy zamiast „wyrwania” do tablicy słyszeliśmy pierwsze, wiele zapowiadające, uroczyste zdanie: „Bo wiecie, ludzie sobie wyobrażają, że na Sybirze niedźwiedzie chodzą po ulicy – a to wcale nie jest tak” – i zasłuchani, w absolutnej ciszy, jakkolwiek dobrze już tę historię znaliśmy, udawaliśmy zaciekawionych i zdumionych słuchaczy. Podejrzewam zresztą, że ci nauczyciele dobrze sobie z naszych podstępów zdawali sprawę – po prostu korzystali z okazji, ażeby wrócić we wspomnieniach do swojej własnej młodości, albo też trochę odpocząć i oderwać się od codziennej, pewnie dla nich nudnej sztampy.

Ale w pierwszej klasie nie było jeszcze p. Ehrlicha i matematykiem naszym był Karol Ardel, popularnie „Erdalem” zwany (była taka pasta do butów), albo też „Zygusiem”, a to dlatego, że miał małego synka Zygusia (Zygmunta). „Przyjdź się bawić z Zygusiem” mówił troskliwy ojciec i co słabsi uczniowie korzystali z tego zaproszenia,

wiele sobie po nim obiecując. Niemniej wielkiego entuzjazmu takie zaproszenie nie wywoływało, chociaż nie dawano tego, oczywiście, po sobie poznać.

Przyrody i geografii nauczał p. Stanisław Rzerzycha, młody wtedy, niezwykle przystojny i uznany za „don Juana” naszego gimnazjum. W czasie II wojny zjawiał się z Polską Armią w Palestynie i tutaj znaleźli go dawni uczniowie, m.in. Markus Epstein z mojej klasy; spotkanie, jak mi opowiadano, było niezwykle serdeczne, oprowadzali go po Tel Awiwie i Jaffie itd. Podobno jest teraz gdzieś w Ameryce Południowej.

Jednym z najłagodniejszych nauczycieli, jakich kiedykolwiek miałem, był Jan Smoluchowski, nauczyciel śpiewu, u którego pobierałem także prywatnie lekcje gry na skrzypcach. Jego z natury łagodny charakter nie miał jednakże wpływu na powagę, z jaką traktował swoją na pozór niegroźną dyscyplinę. „Śpiew” p. Smoluchowskiego, z niefrasobliwego śpiewania przekształcił się w naukę o teorii muzyki i z końcem roku łagodny poza tym p. Smoluchowski, z notesem w rękę, nie wybaczał ignorancji w tej dziedzinie ze strony uczniów, którzy poprzednio uważali lekcję śpiewu za nie obowiązującą przerwę między „poważniejszymi” godzinami. Jeden z moich kolegów, w II klasie, zawdzięczał temu stratę roku, ponieważ dwóję z matematyki uzupełnił mu Smoluchowski dwóję ze śpiewu i w wyniku tego musiał „repetować” (z jedną miałby „poprawkę” po wakacjach i mógłby przejść do następnej klasy).

Z p. Smoluchowskim pod względem usposobienia mógł konkurować jedynie najłagodniejszy chyba człowiek, jakiego znałem w życiu, był to filolog klasyczny Stanisław Dąbek. Prawdziwy znawca łaciny i greki, przekazał mi miłość do tych przedmiotów, które były na ogół zmorą gimnazjalistów i cieszyły się, i chyba do dzisiaj jeszcze cieszą tam, gdzie jeszcze obowiązują, powszechną pogardą jako przedmioty niepotrzebne, zajmujące czas i miejsce w programie nauczania. Nie mogę się z tym poglądem zgodzić, i nawet dzisiaj, z perspektywy czasu, nie mogę go przyjąć – i chyba to zasługa p. Dąbka.

Prof. Dąbek był człowiekiem niezwyklej dobroci serca, wyrozumiałym dla uczniów i wybaczącym wszystkie figle i psikusy, jakie mu płatano. Toteż często hałas na jego lekcjach panował niezwykle. Pod tym względem można go było porównać jedynie z matematykiem i fizykiem, Julianem Maschlerem. Ten był również w swojej dziedzinie fachowcem bardzo dobrym, ale moja klasa miała okazję zapoznać się z nim tylko jako z germanistą, kiedy przez krótki czas występował w tej roli w zastępstwie. Było to chyba w III-iej klasie i uczyliśmy się „na filii”, to znaczy w małym budynku obok kościoła. Do klasy wchodziło się „od tyłu”, to znaczy od strony ostatnich ławek i trzeba było przejść przez całą, dość długą salę, ażeby dostać się do katedry. W niesłychanym hałasie i zamęcie, tuż po dzwonku, wchodził p. Maschler do klasy i już od początku nawoływał „spokój, spokój” powtarzając to, bezskutecznie zresztą, aż dotarł do katedry. Brzmiało to trochę jak „Hokus, pokus”, toteż nazywany był powszechnie „Magikiem”.

Bardzo często, z powodów mi niejasnych, zmieniali się moi nauczyciele – poloniści. Pierwszym, tzn. w klasie I, był Mojżesz Papierman, którego, już po kilku miesiącach zastąpiła p. Sandhaus. Była ona co prawda filologiem klasycznym i tylko z braku innego kandydata dostała m.in. również tę funkcję w naszej klasie, ale lekcje polskiego umiała prowadzić z dużą inwencją i interesująco. Z rozrzewnieniem

wspominam nasze ówczesne, uroczyste czytanki Juliusza Bałickiego i Stanisława Maykowskiego („Kraj lat dziecinnych” dla kl. I, „Będziem Polakami” dla kl. II i „Miej serce” dla kl. III), a w nich wyjątki z prozy Kaden-Bandrowskiego, Sieroszewskiego, Makuszyńskiego, Nałkowskiej i innych współczesnych pisarzy. Było dla mnie objawieniem, że można w szkole czytać i uczyć się czegoś współczesnego i interesującego, zamiast nudnych i anachronicznych opowiadań z innych czytanek.

W klasie III zjawiał się ze Lwowa jako polonista dr Jacek Jedliński, owiany legendą „pisarza”. Istotnie związany raczej z dziennikarstwem, publikował na łamach prasy lwowskiej, felietony i artykuły popularne. Elegancki i kulturalny, z wyglądu i zachowania dla nas, mieszkańców Tłumacza, prawdziwy „światowiec”, zamieszkał w hotelu p. Leona Schwefelgeista, ówczesnego wiceburmistrza. Na bocznej, ale dobrze widocznej ścianie tego hotelu widniał dużymi literami napis „Hotel Europejski”, a pod nim, również dużymi, drugi – „Pokój do śniadań”. Nie pamiętam, żeby z tym hotelu kiedykolwiek przed albo i po Jedlińskim, ktokolwiek mieszkał. Powodzeniem cieszyła się restauracja p. Schwefelgeista w tymże budynku, ale dopiero przyjazd Jedlińskiego uświadomił mi, że hotel służy do tego, żeby w nim mieszkać. Nie zdążył też Jedliński wynająć sobie stałego mieszkania, jak to robili inni, przysyłani z innych miejsc nauczyciele, bo po krótkim zaledwie pobycie w Tłumaczu znikł z naszego życia nieodwracalnie. Myślę, że się temu światowcowi życie w Tłumaczu nie bardzo podobało, bo po pewnym czasie zupełnie niespodziewanie, usłyszałem w audycji niedawno utworzonej lwowskiej rozgłośni zapowiedź, że felieton „o życiu na prowincji” wygłosi p. Jacek Jedliński. Słuchałem tego dowcipnego ale kąśliwego felietonu z pewną dozą przykrości, ale przecież także z dumą, bo tego pana, który to napisał i przez radio przemawiał, znałem przecież osobiście.

W miejsce Jedlińskiego zjawiał się Michał Kędzior i chyba jemu najbardziej zawdzięczam moje głębsze zaintereso-

wanie literaturą w ogóle, a polską w szczególności. Traktował nas prawie jak dorosłych, i stawiał czasami, jako tematy do wypracowań, zagadnienia pasjonujące i rozwijające młode umysły. Pamiętam np. taki temat „zadania” (czyli wypracowania domowego): „Jak upamiętnić (czy może wprowadzić w życie – już nie pamiętam) wskazania Komisji Edukacji Narodowej – a potem dyskusję w klasie (trzeciej!) po odczytaniu wypracowań kilku kolegów.

Następnymi moimi polonistami byli dr Olga Skibniewska i Marian Mierzwiński. Mieliśmy taki „hymn” naszego gimnazjum, na melodię znanej piosenki ludowej, śpiewanej na ulicach Lwowa przez znanego łagodnego „wariata” Lejbusia. O każdym nauczycielu była w tym hymnie zwrotka, która o popularnym „Marianie” brzmiała tak:

*Jest tam też profesor,  
Chodząca powaga,  
Polskiego on uczy  
I dużo wymaga*

a więc, w odróżnieniu od innych, nie bardzo złośliwa. Świadczy to o pewnym stosunku do „Mariana”. Nie pamiętam już, czy naprawdę tak dużo wymagał, ale wiem, że umiał zaszczyć nam miłość do „Pana Tadeusza” i do wileńskich filomatów, którym to tematowi znaczną większość wyznaczoną na swoje lekcje czasu poświęcał.

Myślę, że wielkie to szczęście mieć takich nauczycieli, jakich myśmy mieli w naszym prowincjonalnym gimnazjum. Jestem, właśnie dzisiaj, po latach, na podstawie konfrontacji z ludźmi z innych stron, głęboko przekonany, że nasi profesorowie nie tylko nie ustępowali, ale często przewyższali swoich kolegów z tamtych gimnazjów. Ja w każdym razie wspominam ich z dużą wdzięcznością i rozrzewnieniem, z uznaniem za to, co nam dali w niełatwych warunkach bądź co bądź (trzeba to jednak przyznać) prowincjonalnego miasteczka.

1) *Był to baron Stefan Mojse Rosochacki* □



Tłumacz, park, skrzynki dla ptaków, 1937 r., klasa III gimn. państw. Od lewej: St. Bień, Antonina Płomińska, Abraham Haspel, Sławek Herman, Ludwik Steinberg, Ludwik Kroszenko, Czesław Ostropolski, Janina Sokołowska, F. Syposy, prof. St. Rzerzycha, Michał Nyszczuk, Krystyna Gabańska, St. Mierzwiński, Ludwik Sędziwy, Zbigniew Kwiecień, Helena Urbaniak, Janina Szulc.

## Jeszcze o tłumackiej bursie (lata międzywojenne)

Jan Majdański

Z wielką ciekawością i wzruszeniem przeczytałem w ZT (IV kwart.) opis pani Molisak-Ossowskiej o początkach bursy sprzed pierwszej wojny światowej, gdzie sam mieszkałem, ale w lepszych i piękniejszych latach wolnej Polski od 1931-39 r., w latach mojej młodości.

Za moich czasów warunki bursaków były pod każdym względem o wiele lepsze, tylko niektóre pozostałości z dawnych lat były jak przedtem, ale ja opisuję te lata, które znałem i przeżywałem, piękne i pamiętne, choć „spartańskie”. Urodziłem się w Horyhladach, we wsi położonej nad piękną rzeką Dniestr. Tu spędziłem moje dziecinne lata, o których się teraz tylko śni.

W roku 1931 zdałem egzamin do gimnazjum starego typu w Tłumaczu i rodzice oddali mnie do bursy, o której istnieniu dowiedzieli się od dalszych krewnych z innej wsi, których syn, Leon Gęsicki, uczeń ósmej klasy, też tam mieszkał. Po pięknym, ciepłym, jak zawsze w tych latach sierpniu nadszedł czas opuścić raz pierwszy dom rodzinny.

Matka zapakowała wszystko co było potrzebne, tj. pościel, kołdrę, poduszki, ręczniki i bieliznę do dużego kuferka i jazda do Tłumacza, do bursy.

Zajechaliśmy przed dom bursy, duży, piękny z balkonami i dużym frontowym ogrodem z klombami.

Przyjął i powitał nas kierownik, prof. Józef Follprecht z cenzorem Leonem Gęsickim, któremu polecił pokazać nam cały dom i uświadomić oraz wyjaśnić regulamin bursy. Choć były frontowe drzwi, używaliśmy zawsze tylnych od podwórza, za którym rozciągał się, aż do rzeczki Tłumaczyk, długi i szeroki ogród warzywny.

Na parterze był przedsionek, z którego wchodziło się do hallu (sieni) z dużą szafą na buty oraz pantofle, które były obowiązkowe wewnątrz budynku. Na parterze była kuchnia ze spiżarką i jadalnia. Na pierwszym piętrze były pokoje państwa Follprechtów i duże sale, jedna większa, zwana uczelnią, ze stołami, ławkami i półkami na książki, druga sala dla rozrywek takich, jak ping-pong, szachy, warcaby i inne zabawy oraz unowocześniona łazienka z wanną, umywalkami, prysznicami, kociołkiem do grzania wody. Na drugim piętrze były dwie duże sypialnie z pojedynczymi żelaznymi łóżkami, mała dla dwóch cenzorów oraz poddasze na kuferki, walizy i kilka półek. Na dużym podwórzu z boku stała szopa czy stodoła, gdzie bursacy wypychali i wypróżniali swoje sienniki, przy której to robocie było dużo żartów, śmiechu i naturalnie kurzu. Słomy dostarczał nam za kilka groszy sąsiedni gospodarz, Rusin. W stodole trzymano też węgiel i drzewo na opał. W każdej sali stały w kącie kafłowe piece, przy których w sypialniach podgrzewaliśmy swoje kołdry przed spaniem. Na podwórzu za stodołą był mały chlew oraz dawne ubikacje, z których uciekało się jak najszybciej (latem). Nowe toalety mieściły się wewnątrz budynku. Za podwórzem rozciągał się aż do rzeczki Tłumaczyk długi i szeroki ogród warzywny, wielce używany za czasów ks. Witkowskiego. Przez pierwsze dwa lata kierownikiem był prof. Józef Follprecht z bardzo ładną i miłą żoną, co zauważyłem już nawet w moim młodym wieku. Nie pamiętam dokładnie, ale w bursie mieszkało chyba około 20 – 26 uczniów w różnym wieku, pochodzących z okolic takich jak Jezierzany, Chocimierz, Ostra, Koropiec, Mona-

sterzyska, Stanisławów i z dalszych stron Polski, jak Jasło, Nowy Sącz i nawet jeden był z Warszawy.

W pierwszych latach opłata w bursie wynosiła 50 zł miesięcznie i co jakiś czas podwyższano ją. Czesne w gimnazjum wynosiło 200 zł rocznie, płacone półrocznie.

Dobrze pamiętam moje pierwsze dwa lata w bursie, a szczególnie starszych kolegów, wśród których byli wspaniali śpiewacy. Często latem po kolacji, dla rozrywki śpiewaliśmy w sali lub na dworze. Karol Święcicki z siódmej klasy silnym głosem zaczynał „Z górnych przybywam sfer”, potem szły dalsze piosenki. „Choć burza huczy”, „Czerwony pas”, „Wieczorny dzwon”, „My chcemy Boga” i „Pod Twą obronę”. Śpiew ten na pewno słyszano na całej Kolinieckiej ulicy, rozlegał się on hen daleko po łąkach i polach.

Prof. Follprecht lubił chodzić na polowanie i raz z profesorami Rzerzyczą, Dąbkim i Mierzwińskim zabrali kilku z nas najmłodszych „zaganiaczy”. Wozami pojechaliśmy w pole na łowy na zające. O ile polowanie było bardzo pomyślne to z łaski prof. Follprechta na kolację dostawaliśmy zajacę na dziko, który smaczny był mimo śrutu w mięsie.

W roku 1933 zaszły zmiany nie tylko w bursie, ale i w gimnazjum. Starego typu gimnazjum zmieniono na ogólnokształcące czteroletnie gimnazjum i dwuletnie liceum (nowego typu). Zmieniono też szkolne mundury, po których teraz nie można było rozpoznać klasy ucznia jak przedtem, kiedy na kołnierzykach bluzek zapinanych pod szyję były paski; srebrne od 1-ej do 4-ej klasy i złote od 5-tej do 8-ej.

W tym samym roku odszedł z bursy prof. Follprecht, a kierownictwo objął ks. Mikołaj Witkowski aż do końca 1939 r.

Regulamin i tryb życia w bursie był taki sam, jak przedtem, ale, jak zwykle bywa z „nową miotłą”, zwiększono dyscyplinę.

Dzień w bursie zaczynał się pobudką o godzinie 6.15 rano. Dziesięciominutowa gimnastyka na podwórzu, często z ks. Witkowskim, mycie się zimną wodą. Gorąca woda była tylko w sobotę, na kąpiel – nago pod prysznicami, mycie i szorowanie sobie nawzajem pleców, z wielkim humorem i śmiechem. Po myciu ścielenie łóżek, ubieranie się, śniadanie i jak zawsze przed i po posiłkach modlitwa. Po śniadaniu, deszcz, błoto czy śnieg na ósmą trzeba było być w gimnazjum. Po szkole obiad od 13-ej do 14-ej, przerwa (rekreacja) do 15.30. Od 15.30 do 17-ej w uczelni, pod dozorem cenzorów odrabianie lekcji, w zupełnej ciszy (silencjum). Przerwa na herbatkę (pół godziny) i dalsze lekcje do 19-ej. Kolacja, a potem przerwa na rozrywki, czyszczenie butów itp. O godzinie 21.00 kontrola młodszych przez cenzorów, sprawdzanie zadań domowych i tak zwane „pytanie”. Modlitwa o godz. 22.00 i spać.

Modlitwy zawsze odmawialiśmy z ks. Witkowskim, rano i wieczorem w uczelni, na kolanach, ze śpiewem „Kiedy ranne ...” i „Wszystkie nasze...” Podczas maja śpiewaliśmy pieśni maryjne „Cześć Maryi...”, „Chwalcie łąki...” i inne. Po wieczornej modlitwie w maju i październiku odmawialiśmy jeszcze też jedną tajemnicę różańca. Mówiąc kolejne „Zdrowaś”, często niektórzy zapominali kolejności i takich kuksańcem w bok budziło się ze snu.

Ks. Witkowski nie tylko dbał o nasze dusze, ale także o nasze ciała. W dużym ogrodzie za jego czasów rosło wszy-

stko, co było potrzebne do naszej kuchni, ziemniaki, kapusta, buraki, fasola, dynia, ogórki, pomidory, nie zapominając o cebuli, czosnku i porzeczkiach rosnących z obu stron ścieżki aż do rzeczki Tłumaczyk..

Po zoraniu przez gospodarza ogrodu, resztę robiliśmy sami, czasem z dobrej woli, a czasem z musu z pomocą i pod dozorem księdza, który też pracował, choć w długiej sutannie nie było mu łatwo.

Dwa lata po objęciu bursy przez ks. Witkowskiego przyszła nowa gospodyni do kuchni, pani Nahirna ze Lwowa, z córką, która też chodziła do gimnazjum – obie mieszkały w bursie. Pani Nahirna bardzo miła i dobra kucharka, karmiła nas dobrze, czasem z „repeta” (extra). Wyżywienie w bursie zawsze było dobre, ale za pani Nahirnej specjalnie było smaczne i urozmaicone. Śniadania: zwykle chleb z dżemem, herbata lub kawa w niedziele gotowane mleko, chleb lub kajzerki. Obiady z trzech dań: barszcz, różne zupy, z mięs: wołowina, szczególnie rosółowa, zrazy, sznycle, kiełbasa w kapuście, ziemniaki lub kasza hreczana, sosy i jarzyny. Na deser: budyń, kompot, naleśniki, pączki. Kolacje: kluski lub makaron z serem, łazanki, kiszki z ziemniakami etc.

Pamiętam, raz przez cały rok hodowano w chlewie prosiaka, z którego mieliśmy pyszną kolację na Mikołaja, tj. imieniny ks. Witkowskiego, w który to dzień zawsze składaliśmy mu powinszowanie i życzenia na 100 lat! Imieniny były co roku, ale kolację „na zimno” mieliśmy tylko raz: kiełbasa, szynka, salceson, pasztet, ćwikła, wszystko (oprócz wódki). Rozrywek w bursie było wiele i różne. Na podwórzu była siatkówka, palant, kiczki, piłka nożna itd. Zimą na podwórzu zabawy śnieżne, w sali szachy, warcaby,

rysowanie, ale najpopularniejszy był „napoleon” (nie dla dziewczyn zabawa). Pamiętam jednego biedaka, prali go w tyłek aż zgadł, kto go bił.

Porządek i czystość w salach i na schodach utrzymywaliśmy sami, bo jak już wspomniałem, ks. Witkowski wymagał od nas dyscypliny i za wszelkie poważne wybryki karał. Sam poczułem jego rękę, i nie tylko ja, bił tego trzcina.

Patrząc wstecz, życie w bursie mimo braku wolności i domu było ciekawe, miłe, wesołe i koleżeńskie. Nauczyło mnie, i chyba wszystkich bursaków, jak współżyć z ludźmi w późniejszym życiu.

Zdarzały się czasami złośliwości, o byle co sprzeczkę, spory i kłótnie, prowadzące nawet do wybuchów.

Pamiętam raz, spokojnie odrabiałem na sali swoje lekcje, a jeden z kolegów przy dalszym stole dręczył mnie swymi złośliwymi uwagami, tak że w końcu straciłem cierpliwość, wziąłem kałamarz i rzuciłem w niego. Nie trafiłem, ale ściana była zalana atramentem, za co dostałem od księdza sześć tęgich uderzeń trzcina „w portki”. Nie włożyłem do spodni zeszytów, jak inni, bo ksiądz się już na tym znał. I takie było „życie pocziwego bursaka”.

Dla przypomnienia wymienię kilku, już zmarłych i kilku jeszcze żyjących gdzieś w Polsce lub świecie bursaków.

L. Gęsicki, K. Świącicki, Topolski (z Jasła), Niedzielczak, bracia Tomkiewiczze, Zajączkowski, W. Śniechowski (z Jezierzan), Suchecki, B. Lewicki, Łabaziewicz, S. Żyrowski, Hajek, Stochiewicz, K. Szczepaniak, T. Gorczyński, Filipowski ze Stanisławowa, W. Syprosz (zmarł w Anglii – nawigator w lotnictwie). Bohusz, T. Szul (z Bitkowa), Wrona, M. Dasiewicz, Z. Kański, T. Hollender z Tyśmienicy i wielu innych. □

## Tłumacz w latach 1939-1945

### Spotkanie z porucznikiem Michałem Dębciem w ostatniej Jego podróży na Wschód

Michał Szumilas



Michał Dębiec s. Jana, ur. w Stanisławowie 13 VIII 1893 r. Kierownik Szkoły Powszechnej w Tłumaczu. Oficer rezerwy, odznaczony za udział w I Wojnie Światowej krzyżem *Virtuti Militari*, Komendant POW w Tłumaczu.

Ze Lwowa wywieziono w pierwszej połowie listopada 1939 r. wielki transport oficerów polskich. Było ich tam kilka tysięcy: po cywilnemu ubrani liczni oficerowie rezerwy aresztowani w różnych miastach województw wschodnich, oficerowie – jeńcy zabrani do niewoli przez Armię Czerwoną oraz oficerowie ranni rekonwalescenci ze szpitali. Transport był eskortowany przez NKWD. W jednym wagonie jechali dwaj znajomi: porucznik z I wojny światowej Michał Dębiec, lat 48 kierownik 7-klasowej szkoły męskiej w Tłumaczu, oraz młodszy, por. Stanisław M. Obaj znali się ponad 5 lat, gdyż Stanisław M. ukończył w Tłumaczu liceum ogólnokształcące. Sowieci zaaresztowali Michała Dębca ponieważ był on wojskowym komendantem Tłumacza we wrześniu 1939 r., a Stanisława M. Armia Czerwona wzięła do niewoli w mundurze porucznika. Cicho, aby nikt ich nie podsłuchał coś szeptali ze sobą w wagonie, ale Dębiec ciągle odpowiadał Stachowi „nie i nie”. Por. Stanisław namawiał Dębca żeby przy nadarżającej się sposobności, gdy milicjanci będą senni, urwać się z transportu i uciec. On jako rodak z Podola zna drogi w woj. tarnopolskim, ma w niektórych powiatach swoich krewnych i znajomych u których znajdą pomoc i opiekę. Ale Michał Dębiec

był uparty i nie dał się przekonać. Jako porucznik z I wojny światowej miał krzyż *Virtuti Militari* i nie godził się na propozycję swego rozmówcy oświadczając mu: „Honor oficerski i krzyż wojskowy nie pozwalają mi uciec z transportu i zostawić uwieczonych współtowarzyszy w tym dwóch generałów, którzy z nami jadą”. (Byli to generałowie St. Haller i Szyszko-Bohusz). Jednak por. St. M. nie zrezygnował i dalej namawiał Dębca, który był w cywilnym ubraniu – że łatwo im będzie uciec gdyż podpici milicjanci mniej ich pilnują. Ale Dębiec nie dał się namówić młodzikowi. Był on zde gustowany, zrezygnowany, gdyż przebywał ponad 6 tygodni w kilku więzieniach sowieckich w warunkach antyhygienicznych i antyludzkich, wycieńczony nocnymi śledztwami. Biedaczysko załamał się nerwowo i duchowo i bał się zaryzykować, aby nie popaść z deszczu pod rynnę. Tymczasem transport jechał coraz dalej na wschód. Minął miasto Złoczów, węzłową stację Tarnopol-Podwołoczyska, przejechał mostem rzekę Zbrucz na granicy polsko-sowieckiej i pojechał dalej przez Podole sowieckie. W mieście Płoskirowie na węzłowej stacji zatrzymał się na 15 minut. Ponieważ to było już po stronie sowieckiej dalej od granicy przedwojennej z Polską, część milicjantów-konwojentów poszła do bufetu stacyjnego napić się herbaty i kupić sobie nieco prowiantu w bufecie. Pozostali milicjanci na peronie pilnowali

pociągi. Stanisław M. pożegnał się z Michałem Dębciem, wziął duże wiadro na wodę i cicho wyszedł z wagonu. Korzystając z nieuwagi milicjantów przelazł pod wagonem na drugą stronę, gdzie nie było nikogo. Następnie przelazł pod wagonami na inny tor, przeskoczył parkan kolejowy na pole i poszedł na zachód, omijając wsie i kołchozy. Nocował w stertach słomy i tak doszedł do Zbrucza. Gdy patrole graniczne oddaliły się przeszedł wpław przez rzekę i szedł dalej na zachód... Tak doszedł nad ranem do domu krewnego, tu posilono go, wypoczął, następnie krewni przebrali go w cywilne ubranie. Po paru dniach pojechał do znajomych w innym powiecie, ci postarali się dla niego o pracę w charakterze prostego robotnika kolejowego. Stanisław M. szczęśliwie przeżył okupację sowiecką i niemiecką i doczekał się końca II wojny światowej i żyje do dzisiaj. Po wojnie uczył się dalej, zdobył dyplom magistra, a następnie dr filozofii. Pracuje w szkolnictwie wyższym. Ciężko przeżył cios w 1943 r. za okupacji niemieckiej, kiedy gazety-gadzinówki podały, że kilku jego znajomych z niewoli jenieckiej we Lwowie zostało zamordowanych w lasach katyńskich, a między nimi był wymieniony Michał Dębiec z Tłumacza. Jego żonę i córeczkę deportowano na Syberię.

(Wspomnienie napisane w 1966 roku)

## Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

### Dzień św. Józefata w Tłumaczu

Ks. Lesław Jeżowski

Chociaż przypadał on z końcem listopada, nie pamiętam, aby był już wtedy śnieg. Dzień ten kojarzy się mi raczej ze słońcem, ulicami bez błota, jakimiś jesiennymi kwiatami.

W uroczystość św. Józefata chodziliśmy wszyscy, to znaczy „całe gimnazjum”, na Mszę do cerkwi. Był to swego rodzaju rewanż za św. Stanisława Kostkę – 13 listopada, święto patronalne młodzieży męskiej rzymskokatolickiej, gdy Rusini, razem z nami, Polakami, szli do kościoła.

Bardzo lubiłem ten nadprogramowy dzień wolny od nauki, zwłaszcza, jeżeli uwalniał mnie od lekcji, które mi nie odpowiadały. W zasadzie dzień św. Józefata nie był tak całkowicie pozbawiony nauki w szkole. Zawsze była pierwsza, a może i druga godzina, i dopiero po nich wyruszaliśmy z gimnazjum. Po zakończeniu nabożeństwa w cerkwi, mieliśmy wrócić na dalsze zajęcia szkolne, ale w praktyce nie było w tym dniu żadnej nauki. Już od ósmej rano chłopcy, którzy grali w naszej orkiestrze chodzili z instrumentami, wyciągano sztandar gimnazjalny z ołtarza w kaplicy sodalicyjnej, zakładano go na drzewce, a nie obywało się też bez wymyślenia jakichś akcji zupełnie niepotrzebnych, byleby tylko, uczniowskim sprytem, uniemożliwić normalne lekcje. Po cerkwi jedni nie wracali już do szkoły, jak Rusini, którzy szli na śniadanie, lub tacy, którzy woleli wagary, a drudzy, wróciwszy, nie uczyli się już, bo profesorowi nie chciało się prowadzić lekcji w opustoszałej klasie.

Na wymarsz do cerkwi gromadziliśmy się przed budynkiem gimnazjum. Tam formowano nas w dwójki (czwórki były zarezerwowane na największe święta), poczet sztandarowy umieszczał się na przedzie orszaku, tuż za orkiestrą, a na samym końcu szli nasi profesorowie wraz z dyrektorem. Najkrótsza droga

do cerkwi prowadziła przez park. Zawsze chodziliśmy tamtędy, chyba że brama wyjściowa była zamknięta z jakiegoś powodu. Wtedy szliśmy naokoło, przez rynek.

Cerkiew tłumacka wcale nie przypominała typowej cerkwi unickiej na Pokuciu. Nie miała kopuły, charakterystycznego układu architektonicznych brył, lecz z zewnątrz sugerowała jakąś halę lub duży barak, tyle że murowany. Dwuspadowy dach pokryty blachą nie miał na sobie żadnej sygnaturki. Nad wejściem tkwił tylko jakiś żelazny krzyżyk mówiący o sakralnym charakterze budynku. Dzwony mieściły się obok cerkwi w bardzo prymitywnej, ceglanej dzwonnicy.

Dawniej istniała w Tłumaczu inna cerkiew. Drewniana, z kopułami. Gdy rozpocząłem chodzić do gimnazjum w 1930 r., stała jeszcze wśród drzew obok parku, przy placu Wolności. Ale później ją rozebrano. Widocznie ta stara cerkiew była za mała, może groziła zawaleniem, więc zbudowano niedaleko od niej nową. A że brakowało funduszy, nie silono się na okazałość, lecz poprzestano na najkonieczniejszym. Od ulicy Kolinieckiej dano zwykły, drewniany płot, a z tyłu w ogóle nie ogrodzono cerkwi. Trawnik przycerkiewny przechodził bezpośrednio w łąkę, która łagodnie opadała aż do Tłumaczyka.

Przez furtkę w płocie i jedyną bramę w budynku wchodziliśmy do cerkwi. Orkiestra szła na chór, sztandar koło ołtarza, a my zajmowaliśmy miejsca w ławkach. Cerkiew była prawie pusta, bo z uwagi na powszedni, roboczy dzień, mało kto miał czas na udział w nabożeństwie. Poza tym uważano św. Józefata u Rusinów na ogół za patrona młodzieży, więc dorośli nie kwapili się do cerkwi, tak jak i u nas do kościoła w uroczystość św. Stanisława Kostki.

Siadałem zawsze tak, aby dobrze wszystko widzieć przy ołtarzu i oczekiwałem na rozpoczęcie nabożeństwa. Nie wszystkim moim kolegom odpowiadał pobyt w cerkwi i nabożeństwo w dniu powszednim, więc część z nich umykała z szeregów już w drodze do cerkwi, a inni woleli stać na zewnątrz. Ale nie było ich wielu. W prawym, bocznym ołtarzu znajdował się obraz św. Józefata. Nie wiem, czy on tam miał swoje stałe miejsce, czy też stawiano go tylko na dzisiejszą uroczystość. Obraz bardzo skromny. Jakiś jednobarwny druk z szerokim, białym passe-partout w wąskiej, politurowanej ramce. Wokół niego czerwone draperie (jako że św. Józefat to męczennik), zapalone żarówki, zieleń. Obrazek nie przedstawiał świętego we wschodnich pontyfikalnych szatach, ale w bazylikańskim habicie, z odkrytą głową i chyba z jakąś księgą na pulpicie.

Przed tym ołtarzem nasz katecheta, ks. Witkowski, odprawiał Mszę św. dla nas, Polaków. W uroczystość św. Stanisława Kostki, na odmianę, ksiądz ruski celebrował w naszym kościele. Mógł to być grzechnościowy zwyczaj, ale mogło też być zaznaczenie: niech tam moi uczniowie nie biorą udziału w Mszy św. w nie swoim obrządku. Msza naszego księdza trwała krótko i po niej opuszczał on zaraz cerkiew. Natomiast ruska Służba Boża celebrowana przez greko-katolickiego parocha, ks. Ripeckiego, przy głównym ołtarzu ciągnęła się bardzo długo, jak to zwykle w tym rycie. Ale nie nużyła mnie. Z zainteresowaniem obserwowałem tę mało mi znaną liturgię. Jednak mimo pilnego uważania trudno przychodziło mi domyśleć się, jaka jest w danej chwili część Mszy św.

Lubiłem moment, gdy na ambonie pojawiał się ks. Pławiuk, greko-katolicki katecheta naszego gimnazjum. Znałem go jako dobrego mówcę i jego kazania albo czasem lekcje religii, jakie prowadził w zastępstwie naszego chorego księdza, zawsze mnie interesowały. W cerkwi rozpoczynał swoją egzortę od przeczytania Ewangelii o dobrym Pasterzu. Może on nie tak czytał, ale mnie się wydawało, że kilkakrotnie powtarza zdanie: Jaśm je pastyr dobryj. I później te słowa przytaczał znowu w kazaniu. Nie byłem mocny w języku ruskim, ale kazanie zawsze rozumiałem. Czasem trafiało się jakieś nie znane mi wyrażenie, czy cały zwrot, ale treść kazania pojmowałem. Zawsze znajdowało się w nim trochę szczegółów z młodzieńczego życia św. Józefata. Np. jak chodził nocami po śniegu do kościoła. Stopy miał bosc, a ślad, jaki one zostawiły, był ciepły. W te ciepłe ślady szedł służący świętego i nigdy nie zmarł w nogi. Albo później, już przy końcu swojego życia, św. Józefat mężnie znosił zadawane mu ciosy zabójców i nie godził się nawet na myśl o odstąpieniu od Unii. Mógł mówić o sobie jak Chrystus: Jaśm je pastyr dobryj. Słowom kazania towarzyszyło potrząsanie głową, jako że ks. Pławiuk miał taki nerwowy odruch. Niektórzy chłopcy nawet przezywali go: trasyhołowka. Moi koledzy Rusini prawie nie słuchali kazania, a mnie ono zajmowało.

Po kazaniu moja uwaga słabła i więcej myślałem o czymś innym niż o tym, co dzieje się w cerkwi. Patrzyłem przez okna na jesienne niebo, na przesuwające się chmury, obserwowałem ruch gałęzi na drzewach, przelot jakiegoś ptaka. Dopiero trąby gimnazjalnej orkiestry wykonującej swój popisowy, kościelny utwór: Święty święty, święty, przypominały mi, że jestem przecież na nabożeństwie.

Przed Podniesieniem robiła się cisza. Milkły śpiewy, kończyło szuranie nogami po deskach podłogi. Przy ołtarzu celebrował dokonywał konsekracji. Nie widziałem go przez otwarte carskie wrota. Biedny, tak jak i cała cerkiew, ikonostas zasłaniał mi go. Odezwały się dzwonki ministrantów, jakieś inne w brzmieniu niż te w naszym kościele, a później, na zewnątrz, dzwony cerkiewne. Te to już miały zupełnie inny ton. Nie przypominały dzwo-

nów z kościołów łańskich. Ich dźwięk był dziwnie płytki, matowy, krótki. A przy tym sam sposób dzwonienia; szybki, nieskładny. Mimo to strasznie lubiłem to tak odmienne dzwonienie.

Podczas ich brzmienia patrzyłem znowu przez okno, za którym widziałem tylko niebo, i zdawało mi się, że cerkiew w jakiej się znajduję, stoi daleko, daleko na Ukrainie. Na stepie. Wszędzie, gdzie spojrzeć, równo, trawy, jakieś mogiły. Obok cerkwi – monaster. Brodaci mnisi wychodzą z procesją. Popi w kołpakach na głowach i złocistych kapach niosą ikony, przed nimi czerńcy dymią kadzielnicami, lud śpiewa. Wszystko jak na obrazach Riepina. Przypominały mi się ilustracje ze szkolnych czytanek w języku ruskim: kobiety w białych, wyszywanych płótniankach, w barwnych chustkach na głowach, płowowłose, bosc dzieci, mężczyźni w łapciach, domy kryte strzechą wśród kwitnących sadów, ule pełne szumu pszczoł, rzeki rozlane szeroko. Przypominał mi się sklep w Stanisławowie przy ulicy Lipowej, w budynku „Warszawa”, w którym na wystawach tyle było ruskich paramentów cerkiewnych i przyborów liturgicznych. Cała ukraińska egzotyka.

I chciałem żyć w jakimś monasterze, bić pokłony przed ikonami jak inni, słuchać ruskich pieśni, wachać zapachy kadzielne, rozpalać świece przed obrazami świętych. Ale dzwony przy tłumackiej cerkwi przestały bić, a gdy umilkło ich echo, skończył się mój niezwykły nastrój.

Do Komunii św. przystępowało bardzo wielu moich kolegów Rusinów. Przede wszystkim cała bursa, gdzie ks. Pławiuk był prefektem. Wydawało mi się, że do komunikowania skłania ich nie tyle pobożność, co nakaz księdza. I prawdopodobnie nie myliłem się, bo skoro tylko wstali z klęczek, kryli się gdzieś po kątach cerkwi, lub w ogóle wychodzili z niej, aby gaworzyć, czy też palić w krzakach papierosy.

Profesorowie gimnazjalni przeważnie odprowadzali nas tylko na nabożeństwo, ale nie brakowało i takich, którzy podczas całej, długiej Mszy św. pozostawali w cerkwi. Może jedynie wychodzili na papierosa. Czekali, aby czuć nad nami w drodze powrotnej do szkoły.

Czas komunii św. bardzo się im dłużył, a wszystkich obecnych pozbawiał względnego zdyscyplinowania. Jeżeli chłopcy Rusini mogli opuszczać cerkiew, to dla czego Polacy mieliby być lepsi? Zaczynały pustoszeć ławki, a na twarzach pozostałych w nich kolegów pojawiało się znużenie. Ja jednak nadal dobrze się czułem w cerkwi i nie miałem zamiaru wychodzić przed zakończeniem nabożeństwa.

A ten koniec przychodził jakoś tak bez wrażenia. Albo może i ja byłem już, mimo wszystko, znudzony i nie zauważałem ostatniej części Służby Bożej. Pustawa cerkiew opustoszała zupełnie, i było po wszystkim. Nie miało sensu formowanie w szeregi tej resztki młodzieży, która pozostała, więc profesorowie nawet tego nie próbowali. Jak kto chciał, to wracał do gimnazjum, albo szedł wprost do domu. Chłopcy z orkiestry byle jak nieśli instrumenty, sztandar pomykał gdzieś chyłkiem. Kto zostawił książki w klasie, teraz wyciągał je śpiesznie z ławki i wychodził ze szkoły, aby, broń Boże, nie przyszło do głowy jakiemuś profesorowi urządzenie lekcji.

Idąc z gimnazjum, porównywałem nasz sposób czczenia św. Stanisława z kultem, jakim otaczali Rusini, św. Józefata. U nas było więcej autentycznej pobożności. Jakoś składniej wszystko szło. U nich piękne chóry, okazałość funkcji liturgicznych, egzotyka form pobożności. I dla tej egzotyki, czy chociażby odmienności, postanawiałem pójść kiedyś do cerkwi, raz w niedzielę, raz w dniu powszednim, aby zobaczyć Służbę Bożą dokładniej, znowu posłuchać dzwonów i spróbować, czy poza uroczystością św. Józefata mogę tam odetchnąć Wschodem. Lecz nigdy do tego nie doszło. □



## List z Tłumacza

List ks. gre-kat. Iwana Pławiuka, katechety w Gimnazjum w Tłumaczu do ks. dr. prałata Romana Dacy, byłego ucznia Gimnazjum w Tłumaczu, (ze zbiorów Stanisława Dacy, Chrzanów.)

Laudetur Jesus Christus.

Przewielebny Księżu, Mój Drogi Romanie.

Opatrzność Boska raczyła obdarzyć mnie 78 latami życia. W tym okresie było mało ścieżek pokrytych mięciutką trawą, a reszta żwir i dużo ciernia. Pierwsza światowa wojna wezwała mnie na służbę Bożą. Służyłem Boskiej sprawie i potrzebom umundurowanych parafian z całą gorącością duszy pod sztandarem z napisem: „Jesteś księdzem”. – I zdaje mi się, że nie mało oczyszczała sutanną kapłańską od uprzedzeń do duchowieństwa. Mam kilka sylwetek bardzo ładnych, myślę, że byłaby szkoda, gdyby one były pogrzebane ze mną na wieki.

Dosłużyłem się również i tej wielkiej łaski Boskiej, że byłem na kurorcie na północnym Kaukazie 5 lat w odzieży i na wikcie kategorii tej klasy ludzi.

Orest (syn) przepadł bez wieści, a że on nie był analfabeta, wobec tego conclusio stat – co mogło się z nim stać. Stefan (syn), zakażony tyfusem plamistym, poszedł za bratem (9 maja 1945, w tym dniu skończyła się druga światowa wojna – pół świata skacze – pół świata płacze). Żona, nie mając opieki lekarskiej, bo dwóch lekarzy aresztowano, przeniosła się na miejsce wiecznego spoczynku z żalu za dziećmi. Córka wyjechała w świat.

Zostałem sam. Wróciłem do domu z zaziębionymi nogami, które odmawiają posłuszeństwa. Nie mogłem objąć parafji. Wobec tego chwałę Boga w domowej kaplicy. Nie wychodzę nawet na swoje podwórze. Ażeby odpędzić natrętne i smutne myśli,

piszę dużo dla swego następcy, który po mnie przyjdzie. Moją wielką bibliotekę zabrano, odczuwam brak książek o treści rekoлекcyjnej i homilijnej. Książkę ks. Hadacha „O zasadę życia” już dawno przetłumaczyłem. Od nas nie można wysłać pieniędzy za granicę, a za Mszy św. księgarnie takich transakcji nie przyjmują.

W takim stanie będąc otrzymałem list z Krakowa. Kochany Ksiądz Roman nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo listem ucieszyłem się. Z radości i wdzięczności ucałowałem pismo – scilicet – rękę piszącego kapłana. Z racji Nowego Roku załączam Czcigodnemu Pasterzowi najszczerze życzenie wszelkich pomyślności, a szczególnie – by Przewielebny Ksiądz Roman był ze swej duchownej pracy zawsze w sumieniu zadowolony. Wdzięczny i życzliwy ks. Iwan Pławiuk

30 XII 1953

Czcigodnej Matce<sup>1)</sup> i Bratu uszanowanie. Niech nikt nie tęskni za Tłumaczem, nie ma już prawie za kim i za czym tęsknić, tak nasz poczciwy ludek zmienił się.

(Zachowano oryginalną pisownię.)

1) Powyższy list jest odpowiedzią ks. J. Pławiuka na list otrzymany od ks. R. Dacy. Znając straszne przeżycia ks. R. Dacy jakich doznał w czasie okupacji z rąk band UPA (zamordowanie matki – patrz ZT. nr 3-4/97) list wysłany do księdza ukraińskiego, znanego z niechęci do Polaków w czasie wojny – świadczy o wielkoduszności i miłosierdziu polskiego kapłana. Redakcja

## W cieniu białych nocy i czarnych dni

### Wspomnienia Sybiraczki (c.d.)

Leonarda Grenadier-Złotnik

*Przeszłość nie istnieje, jest po niej wspomnienie.  
(W. Szymborska)*

Do rejonu Pieszkowska należały między innymi następujące kołchozy: Batmanówka, Karawanne, Połtawka, Wozwyżanka. W tych wsiach mieszkali nasi zesłańcy, którzy jechali tym samym transportem. Były to rodziny z Tłumacza i okolic. Wieś od wsi oddalona była około 10 a nawet 20 km. Często nasze mamy w dni wolne od pracy, w tak zwane „wychodne”, szły w odwiedziny do tych kołchozów. Wychodziły rano, wracały następnego dnia wieczorem, przynosząc przeważnie dobre nowiny (bo o takie tylko chodziło) – o rychłym powrocie do domu. Rozpowszechniane były proroctwa, wróźnie z kart, wywoływano duchy sławnych ludzi. Tego rodzaju zabawy krzepiły serca, dodawały otuchy i z taką nadzieją łatwiej było żyć.

Moja Mama w lecie pracowała w stepie przy pracach polowych. W zimie, w zależności od tego, do jakich zajęć katorżnych była kierowana. Pracowała w oborze przy obrządki bydła, w „ambarze” – magazynie zbożowym, jako stróż nocny (magazyn przeważnie był pusty), w „pymokatni” – fabryce butów robionych z owczej wełny. Takie długie buty do kolan nazywały się „pymy”. Fabrykę butów nazywałam „diabelskim młynem”. Nie pamiętam

technologii produkcji, ale pamiętam, że na środku dużego pomieszczenia stał piec zionący ogniem i żarem. Po bokach stały kadzie z wrzącą wodą. Na stojakach umieszczony był duży walec obrotowy poruszany ręczną korwą, spod którego wychodziły płaty grubej zbitej wełny. Najbardziej uciążliwą i ciężką pracą było kręcenie korwą. Mamcia moja od tej pracy zachorowała na obniżenie żołądka. Wchodzących do tego „diabelskiego młyna”, zatykał odór buchający od rozgrzanej owczej wełny. Nie było tam wentylacji. Ciemno, brudno i duszno. Pracujące kobiety wyglądały jak zjawy – obdarte brudne i głodne, z błyszczącymi oczami z wycieńczenia i głodu. Każda pracująca miała normę do wykonania, od niej zależało, czy dostanie kawałek stęchłego chleba czy umrze z głodu. Będąc w tej fabryce, tak wyobrażałam sobie piekło i zawsze myślałam: „piekło jest tu na ziemi, po co umierać, by go doświadczyć”.

Nie zapomnę wstrząsającej sceny – wchodząc do tego piekła widzę, że na stercie odpadów wełnianych leży kobieta prawie martwa, ciężko chora, w dużej gorączce. Nikt w niczym nie mógł jej pomóc. Od czasu do czasu podawano jej pić – na pewno wodę z roztopionego śniegu. Po jakimś czasie podchodzi do niej brygadziarka i mówi: „pracownika z ciebie nie będzie, a jeszcze żyjesz, nie umarłaś? Szkoda. Śmierć jest wybawieniem, po co masz się męczyć. Co prawda teraz jest zima, trudno będzie z pochówkiem, bo i śniegu dużo i ziemia zamrznięta”. No właśnie! Śmierć dla człowieka była wybawieniem!

A jeszcze mówiono: – umrzesz, nie ma straty, jedna gęba mniej do jedzenia.

W czasie przerw podczas pracy kobiety modliły się albo śpiewały pieśni religijne. Tubylcy chętnie ich słuchali. Największe wrażenie robiły na mnie słowa pieśni:

*Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej  
Do Ciebie, Panie, płynię ten głos,  
Skarga to straszna, jęk to ostatni,  
Bo od tych modłów bieje włos.*

Stojąc i słuchając tej pieśni myślałam, że zaraz będę stara i osiwieję. Podchodziłam do kadzi z wodą i szukałam w odbiciu swojej twarzy, czy już jestem pomarszczona, stara i siwa.

Obowiązkiem dzieci było chodzenie do szkoły cztero-klasowej, która stała na końcu wsi. Niczym nie różniła się od innych ziemianek, może była trochę większa. Do szkoły chodziłam krótko – kilka miesięcy i to z wielką niechęcią.

Miejscowe dzieci patrzyły na nas jak na małpki trochę innego gatunku. Dotykały z zachwytem naszych jeszcze nie zniszczonych ubrań i podziwiała naszą „inność”. Nauczycielka natomiast starała się udowodnić, jak źle uczono nas w „pańskiej Polsce” i jak ta Polska była niesprawiedliwa w stosunku do ludzi pracy. Nie rozumiałam tych podtekstów wygłaszanych przez ich nauczyciela. Po latach zrozumiałam, jak bardzo okłamywano ludzi i niewłaściwie nastawiano do świata innego niż ich „własť” sowiecka”.

Po ukończeniu dziesięciu lat zaczęłam pracować w dziecięcej brygadzie. Oczywiście tylko latem. Codziennie rano była zbiórka pod szkołą i pod nadzorem brygadzysty szło się w step, do prac polowych. Każdemu dziecku wyznaczano normę do wykonania. Pamiętam pracę w łanie pszenicy, z którego należało wrywać piolun. Tak dobrze pamiętam to zajęcie, ponieważ była to praca ponad moje siły. W upale 30-stopniowym należało wrywać ogromne krzaki piolunu. Może te krzaki nie były tak duże, ale wielkością przerastały mnie i mocno siedziały zakorzenione w ziemi. Gdy je wrywałam wydzierały gorzką woń, a żółte, gorzkie pyłki wysypywały się z kwiatostanów, oblepiając całą odzież, ręce i twarz. Po kilkugodzinnej pracy dłonie były w krwawych pęcherzach, a wkoło ust tworzyła się gorzka, piekąca maź.

Już nie pamiętam, ile godzin trwała ta dziecięca dniówka. Za jeden dzień pracy dzieci dostawały 200 gramów chleba wypiekanego ze stęchłej pszenicy.

W zimie przędłam wrzecionem na kądzieli owczą wełnę, z której robiłam chusty, rękawiczki, skarpetki i swetry. Praca ta nie była ciężka, ale uciążliwa, bo terminowa. Z sąsiednich ziemianek kołchoźnice przynosiły mi wełnę i za wykonywaną pracę płaciły mi ziemniakami, mlekiem i chlebem. Ponieważ w ziemiance panował zawsze półmrok, to nauczyłam się prażyć nie patrząc na kądziel. Cienkość nitki wyczuwałam przez dotyk.

Ciężką ponad moje siły pracą było również wydojenie trzech krów. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Po rannym udoju, o czwartej rano, musiałam wygonić krowy do ogólnego pastucha, który zbierał z całej wsi bydło i pędził w step na wypas. Jeśli spóźniłam się z obrządkiem, to za karę musiałam cały dzień sama je paść.

W pustym dzikim stepie czyhały na człowieka różne niebezpieczeństwa. Jednym z nich były wilki – nieodłączni towarzysze ludzi i zwierząt domowych. Było ich dużo o każdej porze roku. Szczególnie w miesiącach zimowych – wtedy były głodne i groźne.

Wypędzając krowy w step byłam świadkiem napadu watahy wilków na stado owiec. Pochwyciły kilka z nich, rozszarpały, najadły się i uciekły. Aby uchronić się od napadu tych drapieżników, idąc w step należało brać ze sobą jakieś metalowe przedmioty. W wypadku ataku wilków, należało uderzać jednym o drugi i krzycząc głośno odpędzało się je. Sztuki tej, obcowania z dzikim stepem, nauczyli mnie Kirgizi.

Mleko od wydojonych krów nosiłam na nosiłce do kirgizkiej ziemianki na wirówkę, która oddzielała śmietanę. „Nosilki” – to drążek zakończony z obydwu stron hakami, na które zaczepiało się wiadra z mlekiem. Największą trudność sprawiało mi podniesienie tych wiader i nałożenie drążka na ramiona. Od tego noszenia mleka miałam na ramionach krwawe strupy, trudne do wygojenia.

Obcując z Kirgizami poznałam ich życie i obyczaje. Ziemianka rodziny kirgizkiej z zewnątrz była identyczna jak pozostałych mieszkańców. Natomiast wewnątrz była inaczej urządzone, zgodnie z ich zwyczajami. Z przedścionka wychodziło się do dużej izby, na środku której stał wielki, czarny sagan – „czigun”, pod którym zawsze tlił się ogień. Według Kirgizów ogień – to dobry duch domostwa.

W izbie nie było żadnych sprzętów. Na ścianach wisiały kolorowe azjatyckie dywany. Wokół ścian, na klepisku, poukładane były również dywany, na których leżały poduszki. Ilość poduszek świadczyła o zasobności domu i gospodarności gospodyni.

U Kirgizów rodziny były w komplecie. Ojciec stał na czele rodziny, a nawet i całego rodu. Zadaniem kobiety było pilnowanie żaru pod paleniskiem, rodzenie dzieci i opiekowanie się nimi (a była ich spora gromada). Mężczyźni zatrudnieni byli w kołchozie. W lecie wypasali bydło. W zimie pracowali w oborze. Wśród dzieci była duża śmiertelność. Często umierały na różne choroby wieku dziecięcego. Lekarzy nie było. Jeśli był – to felczer, który umiał tylko źle złożyć złamaną rękę lub nogę. Nagminnymi chorobami były szkorbut, krzywica i wszelkiego rodzaju ropne zapalenia skóry.

Wszy były nieodłącznymi towarzyszami ludzi. Było ich wszędzie mnóstwo. Nie mogłam zrozumieć skąd się biorą, skoro były systematycznie tępione.

Kobiety kirkiskie zmuszane były przez nadzorców kołchozowych do prac polowych. Taka praca była dla tych kobiet hańbą, niewolą i grzechem. Mówiły, że Allah nie stworzył ich do pracy. „Własť” sowiecka” również zniewoliła ten naród, który w genach miał zakodowaną wolność, swobodę i prowadził od wieków koczowniczy tryb życia. Ludność ta związana była ze stepem, przyrodą i wypasała własne stada bydła, koni i owiec.

Będąc w ich chacie często zapraszano mnie na posiłki. Cała rodzina siadała w kucki i wokół „cziguna”, w którym gotowano „siurpę” i „machan” – zupę i końskie mięso. Na kolanach trzymało się drewniane, pięknie malowane miseczki w azjatyckie krajobrazy. Ojciec rodziny każdemu sprawiedliwie wrzucał do miseczki kawałek mięsa, a potem wlewał zupę. Jedzenie to było niesmaczne, bez przypraw i soli. Po tym, zasadniczym posiłku dorośli pili „kumys” – sfermentowane kobyle mleko. Dzieci dostawały suszony twaróg. Były to kamyczki serowe, praktycznie nie do jedzenia. Tych ich przysmaków brzydziłam się, ponieważ suszący się na słońcu twaróg był oblegany przez roje much.

W środowisku Kirgizów nazywano mnie „Żaksy kizymka” – to znaczyło – biedne dziecko, bez domu. Kiedy mówiłam im, że u nas w Polsce nie ma stepu, ani takich srogich zim i upałów w lecie, to nie rozumieli, jak można żyć inaczej i z powątpiewaniem kiwali głowami.

Uczestniczyłam również w ich obrzędach religijnych. Kilka razy brałam udział w modlitwach do Allacha. Przed pełnią księżyca, w lecie, kiedy nocy prawie nie było, z sąsiednich wsi – posiołków ciągnęły karawany wielbłądzie, niosące na swoich grzbietach całe rodziny. Wszyscy przybywali na zbiorowe modły, którym przewodniczył szaman.

Na wielbłądzie, między szyją a pierwszym garbem siedział ojciec rodu w ogromnej, czarnej czapie. Pozostali członkowie rodziny siedzieli w budce umieszczonej między garbami. Budki te były mniej lub bardziej strojne, kolorowe lub całkiem szare, w zależności od zamożności rodziny.

Dla mnie był to piękny egzotyczny spektakl w niebiańskiej scenerii. Wtedy kiedy księżyc w pełni, w przeuroczej poświacie, w towarzystwie gwiazd pojawiał się na niebie, a niebo mieniło się kolorami tęczy, to wszyscy jak na komendę zsiadali z wielbłądów i szaman rozpoczynał modły. Modlitwy te były żarliwe i pełne pokory. Klękano, padano i wstawano niezliczoną ilość razy przy wtórze śpiewów, głosów bębnow i piszczałek.

Cały ceremoniał kończył się o świcie, kiedy księżyc zachodził. Patrząc na rozmodlony tłum nie mogłam zrozumieć tych ogromnych kontrastów – piekła ziemi, gdzie niewola, głód, nędza oraz choroby i piękna nieba w tej czystej kolorowej poświacie, zapierającej dech w piersi. Tak pięknego nieba już nigdy i nigdzie nie oglądałam.

Stojąc wśród rozmodlonego tłumu, wydawało mi się, że do księżycy mogę sięgnąć ręką, a Bóg jest tak blisko i dotyka mojej głowy. Zamykałam wtedy oczy i przenosiłam się do mojego domu, pozostawionego gdzieś daleko w Polsce, o tysiące kilometrów stąd. Widziałam wtedy koguta siedzącego na płocie z rozpostartymi skrzydłami, malwy zaglądale do okien odcinających się tajemniczą czernią na tle białych ścian domu i babcię wołającą na kolację. Teraz, po wielu latach, które minęły od tamtych nocy, stwierdzam że rzadko kto z ludzi, tu w Europie, potrafi tak się modlić jak modlił się ten egzotyczny i tajemniczy szczerp azjatycki.

Gromadzenie opału na długą i srogą zimę wymagało systematycznej i mrówczej pracy przez całe krótkie lato.

Paliło się komyszem tj. trzcina rosnącą na jeziorze i bydłecymi odchodami, odpowiednio spreparowanymi, tak zwanymi „kiziakami”. Zbieranie „kiziaków” polegało na tym, że idąc w step z krowami zbierało się ich odchody do wiader i na nosilkach przynosiło pod ziemiankę, mieszało z pociętą słomą, formowało kwadratowe bryłki i po wysuszeniu na słońcu układało w piramidy, przykrywało słomą, tak żeby nie przemokły. To był podstawowy materiał na opał, dający dużo żaru, a tym samym i ciepła.

Po „komysz” jeździli dorośli do pobliskiego jeziora. Wtedy kiedy jezioro skuł mróz, przystępowano do koszenia – kosą względnie sierpem. Wiązano w snopy i przywożono wołami roboczymi do zagrody. Dla dzieci była to frajda, ponieważ można było poślizgać się do woli na tafli zamrożonego jeziora. Nie mając odpowiedniej odzieży i ciepłych butów odmroziłam nogi i ręce. Nie pamiętam, którego stopnia było odmrożenie, ale ręce i nogi popuchły,

porobiły się rany, trudne do wyleczenia. Wyleczyłam je dopiero po powrocie do kraju.

Pomimo różnych zabiegów o opał na zimę, nigdy go nie starczało, wtedy trzeba było kraść z kolchozowych zapasów.

Pamiętam makabryczną scenę: Mamcia moja idąc w ziemie z nocnego stróżowania, ukradła trochę opału, a ja siedząc w ziemiance i czekając na powrót mamy, słyszę krzyki – „Wor, wor, ubit” – złodziej, złodziej, zabić, podświadomie biegnę do drzwi, otwieram, a mama, nieprzytomna ze strachu, pada na klepisko nie mogąc złapać oddechu. Słyszymy kroki biegnących ludzi, prosto do naszej ziemianki. Myślę, koniec z nami, zabiją, wywloką na mróz, śnieg zawieje i nie będzie śladu. Kroki ucichły, aż dziwne, przecież ślady na śniegu powinny zaprowadzić do naszej chaty. Był to cud – Opatrzność Boża – zostaliśmy ocalone.

Polityczne wydarzenia nie interesowały mnie, ale pamiętam wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, w czerwcu 1941 roku. Radość była duża, skończyła się stagnacja i beznadziejność. Wszyscy czekali na wybawienie i wyzwolenie spod jarzma sowieckiego. Wszyscy – to znaczy my, Polacy, Rosjanie, Ukraińcy i ludność tubylcza – Kirgizi.

Nasza gospodyni przyszła z pracy i mówi nam o tym wydarzeniu. W euforii zdjęła but z nogi i rzuciła nim w portret Stalina, który wisiał w „świętym kącie”. Szkło się posypało, a podobizna wodza wyleciała z ramy. Po oprzytomnieniu kobieta uklękła przed moją mamą i prosiła, ażeby o tym incydencie nikt się nie dowiedział, bo groziła jej duża kara, rozłąka z synkiem, wyrzucenie z pracy i zsyłka na „białe niedźwiedzie” – w dalekie podbiegunowe tajgi.

Po krótkiej radości nastąpiły trudne dni i miesiące. Straciliśmy kontakt z rodzinami w Kraju, przestały przychodzić listy i paczki. Przesyłki z domu były zawsze cenzurowane i w związku z tym pisano do nas szyfrem. Nie rozumiałam tych magicznych znaków, podziwiałam mamcie, że te domyślniki i znaki tak łatwo odczytuje. Czytając te listy uśmiechała się i była pełna nadziei, ta radość również udzielała się mnie.

W tym beznadziejnym czasie, kiedy wszystko zawiodło i zdawało się, że to już koniec, że tylko śmierć może nas uratować – do ziemianki wchodziła Nusia Panachidowna – listonosz, z wielką torbą przywiązaną sznurkiem do ramion, w której nie było już listów. W kufajce, w dużych butach i czapie na głowie, spod której wyglądały niebieskie oczka i jasne kędziorki włosów. Stawała w kącie izby jak promyk słońca i pięknym głosikiem śpiewała piosenki układane przez nasze panie – sybiraczki, względnie mówiła wierszyki – o domu, ojczyźnie, za którą tak bardzo tęsknimy, o polach, pagórkach i lasach pachnących żywicą. Te wizyty dodawały otuchy i pomagały trwać i żyć.

Utworzenie armii polskiej przez gen. Andersa było dużym wydarzeniem. Zełżały represje, przestano wyzywać nas od polskich panów i psów. Słuchając tych inwektyw, zastanawiałam się dlaczego psy, pany to pany, ale psy?

Zaczęły napływać dary z różnych zakątków świata w postaci konserw, kasz, mąki i tłuszczu. Więźniów puszczano z łągrów. Chłopcy nasi, którzy wydorosli do wieku poborowego, zostali wcieleni do armii Andersa, a byli to między innymi: dwaj bracia Sperkacze – Danko i Borys, Henio Białkowski i Staszek Panachida.

Pamiętam takie wydarzenie: na środku kolchozowego podwórka stał popsuty transporter. Wszystkie dzieci bawiły się na nim. Wchodziło się na szczyt i zjeżdżało w dół.

Będąc na szczycie zobaczyłam, że daleko w stepie, pełną wyboistą drogą idzie w kierunku naszym mały punkcik. W miarę zbliżania coraz bardziej powiększał się. Strach i ciekawość, kto na tym bezludziu może do nas iść – człowiek czy zwierzę? Zwyciężyła ciekawość.

Wszystkie dzieci, jak stado kurcząt zbitych razem, czekały na przybysza. Był to człowiek – starzec, w podartych łachmanach, przepasany grubym sznurkiem. Cała twarz zarosnięta, tylko szkliste, półprzysłone oczy patrzyły na nas. Podchodzi i po polsku pyta, czy tu w pobliżu mieszka p. Raczkowska – jego babcia. Z niedowierzaniem prowadzimy go do ziemianki. Pani Raczkowska z przerażeniem ucieka i mówi, że jej wnuk jest młody, bo ma dwadzieścia lat, dopiero po głosie poznała, że ten starzec to jej wnuk, Zdzisio Raczkowski. Był to kadet szkoły wojskowej we Lwowie. W roku 1940 sowieci wywieźli wszystkich studentów tej uczelni do łagrów w dalekie tajgi. W łagrach panował obłądny terror, bito, morzono głodem i stosowano różne sposoby sadystyczne, by zniszczyć moralnie i psychicznie człowieka – tak opowiadał Zdzisio, uśmiechając się bezzębnymi ustami (zęby powybijano mu w łagrze).

Mieszkał z nami przez całą zimę, bo prawdopodobnie miał się podleczyć, ażeby móc pójść do wojska. Do wojska został wcielony, ale czy się podleczył, tego nie wiem.

Wrócił również z łagrów p. Samborski, ale do żadnej armii się nie wybierał, mówił, że musi pozostać z rodziną i pomóc jej w przetrwaniu. Rodzinie nie był jednak w sta-

nie pomagać. Przeleżał pod ziemianką całe lato, a w zimie zmarł. W zimie umarłych nie grzebano, tylko wywożono do magazynu zbożowego – w którym zboża nigdy nie było i tam leżeli do stopienia śniegów.

Któres z dzieci wpadło na pomysł, ażeby pójść do magazynu i zobaczyć, jak wygląda po śmierci p. Samborski. Otwieramy magazyn, a stado szczurów w popłochu ucieka. Narobiliśmy wrzasku, uciekający szczur ugryzł mnie w nogę, widocznie nadepnęłam mu na ogon. Ślad po ugryzieniu pozostał do dziś.

Wojna przedłużała się. Z frontu nadchodziły złe wieści. Mówiono ze zgrozą o bitwie pod Stalingradem. O tym, że widziano Stalina ukrytego w łanie pszenicy, blisko naszego posesiołka. Od czasu do czasu lądował w pobliżu samolot wraz z załogą, a nawet z rodziną. Lądowanie samolotu było wydarzeniem na miarę lądowania istot pozaziemskich. Lądujące samoloty były podziurawione od kul, widocznie brały udział w bitwach powietrznych. Jeśli lądował samolot, to cała wieś biegła patrzeć. Z samolotu wychodzili młodzieńcy, wysportowani, o twarzach nieprzeciętnej urody. Pamiętam, raz wylądował samolot i oprócz załogi wysiadły dwie kobiety, jedna młodsza, a druga starsza. Była to matka i żona pilota. Piękne, ubrane po europejsku, jak z powieści Tolstoja. Wysiadający z samolotu nigdy nie chcieli z nikim rozmawiać, tylko w ich oczach był widoczny wielki smutek i zmęczenie. Jaki los spotkał ich po wylądowaniu, tego nie wiem.



*Polska Szkoła w ZSRR we wsi Gawrylowka, rejon Kaganowicze, obłast Frunze (Kirgizja). Istniała w latach 1944/45 do 1946, założona przez ZPP. Miała polskich nauczycieli i uczyła polskie dzieci. Zdjęcie, jak też mapy, które publikujemy na okładkach ZT Nr 9 i Nr 10, nadesłał z Francji Stanisławowianin p. Jean Stimm (w tej szkole ukończył V klasę).*

Do rodzin przychodziły listy z wiadomością, że ktoś z rodziny zginął na froncie w obronie „własti sowieckiej” – wtedy słysząc było płacz, wręcz nieludzkie wycia z żalu za mężem, synem, względnie bratem.

Zapanował głód. Całe zapasy żywności wysyłano na front. Ginięły z przydomowych zagrod psy, koty. Również zjadano zdechłe bydło i konie. Wszystko co było możliwe do zjedzenia było zjadane.

Po wyprowadzeniu wojska przez gen. Andersa na Bliski Wschód, zaczęły się w stosunku do nas represje. Zmniejszono racje żywnościowe. Zawsze zastanawiałam się i było to dla mnie niezrozumiałe, jak można zmniejszać to, czego nie ma. Oficjalnie zostaliśmy powiadomieni, że jesteśmy tak zwani „spec pieriesieleńcy”, to znaczy specjalnie zesłani polityczni wrogowie narodu sowieckiego. Powrotu do Polski nie ma. Klamka zapadła, koniec. Po krótkim czasie znowu zelżało. Powiadomiono nas, że powstał Związek Patriotów Polskich na ziemiach sowieckich i jest nabór do wojska. Znowu radość i nadzieja na powrót do domu. Do wojska zgłaszają się wszyscy ci, którzy nie zdążyli dorosnąć do armii Andersa. Ludzie dopisują sobie lata albo je ujmują. Myśl jedna – żeby tylko wyrwać się z tej nieludzkiej ziemi i nie umrzeć z głodu, a w zimie również z zimna.

Z tego ostatniego poboru do wojska pamiętam takie wydarzenie: w kołchozie pozostał tylko jeden młody człowiek, zdolny do wojska – Sławek Sperkacz. Z matką Sławka odprowadzamy go do stacji kolejowej. Podjeżdża pociąg towarowy, załadowany poborową młodzieżą. Przy rozstaniu z najmłodszym synem (dwóch starszych poszło do armii Andersa), p. Sperkaczowa dostaje szoku nerwowego. Pociąg rusza, a ta biedna matka wchodzi pod wagon

i nie można jej spod wagonu wyciągnąć. Z wielkim trudem wyciągnięto ją. Pociąg rusza i odjeżdża, a ja nie mogę sobie z nią poradzić. Krzycząc i płacząc wyrwała darń stepową i nigdzie nie chciała iść. Po zmaganiach, pod wieczór, umazaną w glinie i łzach przyprowadziłam do pustej ziemianki, w której nie było już nikogo.

Po tym krzyku i rozpacz długo chorowała. Przestała mówić, straciła głos, nie chciała nic jeść, przestała chodzić do pracy. Rano wstawała i samotnie szła w step. W tych wędrówkach po stepie chciałam jej towarzyszyć, bałam się, że zabłądzi albo wilki ją rozszarpia. Nie mogąc mówić, odpychała mnie i oczami prosiła, że chce być sama. Nie rozumiałam dlaczego z nikim nie chce być. Po latach zrozumiałam rozpacz naszych matek – heroin na miarę antycznej tragedii.

Jak trochę podrosłam, a raczej przybyło mi lat – bo z tym podrośnięciem szło opornie, postanowiłam skopać kawałek stepu i zasadzić ziemniaki. Kopanie było katorżne. Łopata nie chciała wchodzić w ziemię, musiałam rozrywać darń kilofem. Teraz, po latach myślę, że tylko widmo głodu mogło zmusić do tak ciężkiej pracy. Na tym skopanym kawałku posadziłam obierki kartoflane, bacząc, by każdy kawałek miał oczko wzrostowe. Ziemniaki udały się. W jesieni wielka radość, pod każdym krzakiem prawie wiadro dorodnych kartofli. Rano szykuję się do wykopków. Biorę wiadra, worek i idę na poletko – a tam nie ma śladu po ziemniakach. Zostały w nocy wszystkie wykopane. Rozczarowanie i rozpacz, cała praca na darmo. Usiadłam na pustym polu i myślę: widocznie sądzono jest umrzeć z głodu, na tej dalekiej i wrogiej nam ziemi.

(c.d.n)

## Tłumacki Holocaust

### Sprawiedliwi, prawi – nie Żydzi

Shlomo Blond

*ciąg dalszy wyjątków z książki „The Righte ans Gentiles”, wyd. w Izraelu w 1970 r.*

Jan Tatomir i jego żona Julia

Elsa z domu Fisher przed II wojną światową wyszła za mąż za Berchę (Bernarda) Rednera. Wraz z mężem i 3-letnim synkiem mieszkali w Tłumaczu.

Gdy wybuchła wojna sowiecko-niemiecka (1941 r.) i Niemcy zajęli miasto, to już od pierwszych dni zaczęły obowiązywać zarządzenia skierowane przeciwko ludności żydowskiej. Żydom nie wolno było opuszczać miasta ani spotykać się z ludnością chrześcijańską. Szybko została zorganizowana policja ukraińska, która chętnie pomagała Niemcom w gnębieniu Żydów. Pretekstem do organizowania wystąpień antyżydowskich było to, że wcześniej wielu Żydów wyrażało swoje sympatie do Związku Sowieckiego. Wykorzystując nadarzające się okazje, niektórzy ludzie zaczęli bezkarnie rabować mienie żydowskie. Wkrótce zaczęły się łapanki i wywożenie Żydów. Rednerowie, pomimo doznawanych krzywd i upokorzeń, nie wyobrażali sobie, że Niemcy mogą dążyć do całkowitego zlikwidowania Żydów w Europie. Elza Rednerowa, która czytała „Mein Kampf” zdawała sobie sprawę, że naród żydowski czeka ciężkie czasy, chwile poniżeń i prześladowań, ale nigdy nie przyszło jej na myśl, że Hitler zdobędzie się na realizację polityki całkowitej eksterminacji Żydów.

Podobnie sądziło tysiące jej współrodaków. Wszyscy oni łudzili się, że świat na pewno nie dopuściłby do zbrodniczego „ostatecznego rozwiązania” problemu żydowskiego. Wkrótce stało się oczywiste, że chociaż świat wystąpił przeciw Hitlerowi, to jednak nie był przygotowany do ratowania ludności żydowskiej przed zagładą.

I tak czekali Żydzi w Tłumaczu na swój koniec, który miał nadejść.

W obawie przed zagładą Elza i jej mąż planowali zostawić syna u rodziny Adwentystów Dnia Siódmego w Horyhladach, wierząc, że może w ten sposób choć jeden członek rodziny uratuje się. Co do ocalenia siebie, nie mieli wielkich nadziei. Tragedia dosięgła ich już wkrótce. Mąż Elzy został złapany przez funkcjonariusza policji kryminalnej Bandrowskiego, Polaka, którego nazwisko napawało przerażeniem tłumackich Żydów. Następnego dnia męża jej i 30 innych Żydów zabrano do Stanisławowa i tam ich rozstrzelano. Rodziny zamordowanych, po przeprowadzonej w nocy w ich mieszkaniach rewizji, również zostały zatrzymane.

Czysty przypadek sprawił, że ominięto dom Elzy. Rano, gdy Elza dowiedziała się o tym wydarzeniu, zrozumiała, że natychmiast musi opuścić Tłumacz.

Następnego dnia wraz z synem schowała się w lasku, a kiedy się ściemniło, wróciła do swojego domu przy ul. Horodeńskiej, żeby zabrać trochę pozostawionych tam rzeczy, które przydałyby się w czasie ucieczki. Weszła do środka, ale syna zostawiła przed domem, sądziła bowiem, że zaraz opuści mieszkanie.

Ktoś jednak musiał ją zauważyć i zawiadomić kryminalną policję, gdyż Elza zobaczyła przez okno w zapadających ciemnościach zbliżającego się na rowerze Bandrowskiego. Natychmiast szeroko otworzyła okno, przez które wyskoczyła i ukryła się w krzakach. Bandrowski nie znalazł Elzy, ale natknął się na chłopca i zabrał go ze sobą. Henio był ślicznym chłopcem – wspomina Elza – i dobrze mówił po polsku. To chyba poruszyło kamienne serce Bandrowskiego, bo przejechawszy most na Tłumaczyku puścił chłopca wolno i powiedział mu, żeby szukał matki. Elza znalazła dziecko i udała się z nim do getta, gdzie przebywali jej rodzice i rodzeństwo. Później próbowała wynająć furmankę, która wywozłaby ich z getta, ale to okazało się niemożliwe.

Zostawiła więc syna z matką, a sama przeszła przez ogrodzenie z drutu kolczastego na drugą stronę. Do jedzenia zabrała ze sobą tylko skibkę chleba i parę placków ziemniaczanych upieczonych przez matkę.

Z Tłumacza udała się do pobliskich Pałahicz. Na stacji kolejowej w Pałahiczach był tłum Niemców i Ukraińców, jednak nikt na nią nie zwrócił uwagi. Tu Elza kupiła bilet do Monasterzysk, ale od naczelnika stacji, Polaka, dowiedziała się, że pociąg nadjedzie dopiero wieczorem. Poszła więc do pobliskiego lasu i tam w ulewie, kryjąc się pod drzewami, przeczekała aż do nadejścia pociągu. Przemoknięta do suchej nitki, posilała się zimnym plackiem kartoflanym i rozmyślała o swoim losie – zastanawiała się, dlaczego musi tak cierpieć, uciekać z jednego miejsca do drugiego, jak tropione zwierzę, po co ma tak żyć i cierpieć, przecież prędzej czy później zginie. Dlaczego ma żyć i widzieć pewną śmierć swego dziecka. Elza nie miała już żadnej nadziei, że coś się może zmienić na lepsze – ogarnęła ją zupełna apatia. Podniosła się jednak i powlokła w kierunku stacji, czując podświadomie, że tam nastąpi jej koniec.

Przyszła właśnie, kiedy nadjechał pociąg. W nieoświetlonym wagonie dużo było ludzi, którzy głośno rozmawiali, żartowali i śmiali się. Elza weszła do zadymionego przedziału, w którym pasażerowie drzemali oparci o siedzenia i tutaj również nikt nie zwracał na nią uwagi.

W Monasterzyskach Elza skierowała swoje kroki do Rady Żydowskiej (Judenratu). Niestety po drodze natknęła się na volksdeutscha służącego w oddziałach pomocniczych, który, będąc pewny, że ma do czynienia z Żydówką, zaciągnął ją na posterunek policji ukraińskiej. Tu zamknięto ją w celi na całą noc bez kropli wody, a rano zbito, gdyż policjanci koniecznie chcieli wiedzieć, do kogo Elza przyjechała. Opowiedziała im, że w czasie łapanki została uwolniona przez Niemca i od tego czasu wędruje z miasta do miasta. Policjanci pokazali jej niemiecki mundur wiszący na ścianie. Ten mundur – mówili – należy do komendanta posterunku. W tej chwili on śpi na piętrze, ale jak się obudzi, to pokaże jej, jaki jest jego ulubiony sport – używa Żydów jako tarczy do strzelania z pistoletu.

Elza wiedziała, że Żydzi w Monasterzyskach są również rozstrzelani, zwłaszcza ci złapani na dworcu, toteż kilka złotych monet, które wzięła z domu dała policjantom w zamian za wypuszczenie na wolność. Policjanci w tajemnicy przed komendantem przyjęli je i odprowadzili Elzę do Judenratu.

Kobieta tak była wyczerpana przeżyciami, że w Judenracie upadła zemdlona i przez kilka dni nie mogła przyjść do siebie. Rada Żydowska umieściła Elzę u rodziny, która miała wykopany schron i w ten sposób udało jej się uniknąć łapanek. Po jakimś czasie zamieszkała z przyjacielem brata, adwokatem Hirszlem, ten pomógł Elzie sprowadzić z Tłumacza pozostawione tam dziecko. Człowiek, który to uczynił, za odpowiednią opłatą oczywiście, był Polakiem, znajomym

mecenasa z Monasterzysk. Elza zdawała sobie sprawę, że z dzieckiem trudno jej będzie znaleźć jakieś schronienie. Zawsze istniała możliwość, że może ono zapłakać wtedy, kiedy odbywa się łapanka. Nie miała wyboru, musiała opuścić miasto i szukać schronienia poza nim. Gdy tak chodziła i szukała jakiegoś miejsca dla nich dwojga, spotkała wieśniaczkę, która wyszła z małej chatki. Była to biedna kobieta, mąż jej został zmobilizowany do armii sowieckiej. Przyjęła ona Elzę z dzieckiem pod swój dach i dzieliła się z nimi żywnością, jaką posiadała.

Człowiek, który przyprowadził dziecko Elzy, potem przyprowadził z Tłumacza jej matkę, brata i siostrę z dziećmi. Ojciec Elzy już wówczas nie żył, został zabity podczas ucieczki z getta.

Żniwa w tym roku były obfite, w ogrodach było pełno warzyw, więc ubrania, które mieli zamieniali na żywność.

W tym czasie dotarła do nich smutna wiadomość z Tłumacza, że w mieście nie ma już Żydów, że wszyscy zostali zlikwidowani i miasto jest już „Judenrein”.

Pewnego dnia – wspomina Elza – zdrzemnęłam się, nagle poczułam, że czyjeś palce dotykają delikatnie mojej twarzy. Gdy się ocknęłam spostrzegłam, że to kobieta, która nas ukrywała nachyla się nade mną i mówi, że musimy natychmiast uciekać, gdyż z miasta słychać wielką strzelaninę.

Uciekliśmy do lasu i ukryliśmy się w gęstwinie.

Wieczorem usłyszeliśmy odgłos kroków idących po liściach. Byliśmy pewni, że to łapanka, gdyż wielu Żydów z miasta uciekło do lasu. Gdy kroki przybliżyły się, spostrzegliśmy, że to nasza wieśniaczka przyniosła nam trochę żywności: gotowane ziemniaki i maślanek. Ucieszyła się ona bardzo tym, że zastała nas przy życiu.

Niestety, nie zapamiętałam – wspomina Elza – nazwiska tej kobiety.

Po tej łapance Niemcy ogłosili, że Monasterzyska są wolne od Żydów.

Rodzina Elzy zaczekała do momentu, kiedy mogła opuścić las i udać się do Buczacza. W buczańskim getcie panowało wielkie zagęszczenie i warunki życia były bardzo ciężkie. W jednym pomieszczeniu gnieździło się po kilka rodzin. Panowała epidemia tyfusu i czerwonki. Na czerwonkę zachorował synek Elzy, ale ona nie zgadzała się na umieszczenie go w żydowskim szpitalu. Na szczęście chłopczyk szybko wyzdrowiał.

Przyszła ciężka zima. Domy w getcie były nieogrzewane, a Elza i jej dziecko nie mieli odpowiedniego ubrania. Łapanki odbywały się codziennie. Brat Elzy zbudował dobrze ukryty schron na strychu, gdzie ukrywali się podczas tych łapanek. Z czasem dołączył on do młodych ludzi, którzy uciekali do lasu, aby tam zorganizować się do walki z Niemcami. Udając się do lasu zabrał ze sobą matkę, nie mógł jednak zabrać siostry z uwagi na jej dziecko.

W tym czasie Elza czuła się bardzo nieszczęśliwa. Pewnego dnia spotkała Fanke Schprechman, żonę Peretza, która ukrywała się z dzieckiem w Jazłowcu, niedaleko Buczacza. Wysłuchawszy smutnej opowieści Elzy, Fanke zaproponowała jej, żeby przeniosła się do Jazłowca i wynajęła sobie schron, który można tam było dostać za odpowiednią opłatą. Elza miała już przy sobie trochę rzeczy, przyniesionych przez pewną kobietę od chrześcijan, u których zostawiła je na przechowanie. Zgodziła się więc na propozycję Fanki Sprechman.

W dwa dni później właściciel schronu przyjechał do Buczacza. Nazywał się Jan Tatomir i był Ukraińcem, a żona jego, Julia, była Polką z Mazowsza. Elza przebrała się w wiejski strój i poszła z Tatomirem przez las do Jazłowca.

Małżeństwo Tatomirów było biedne, na utrzymaniu mieli sześcioro dzieci. Jedna z córek była już zamężna. Jej mąż był gorącym polskim patriotą.

Elza wszystko, co posiadała, oddała gospodarzowi w zamian za schronienie. Tatomir przygotował dla niej schron na małym stryżku, następnie poszedł do Buczacza i w ramionach przyniósł synka Elzy.

Po likwidacji getta w Buczaczu, Tatomir z najstarszym synem Edziem pewnej nocy pojechali dwoma wynajętymi wozami do miasta i wrócili, przywożąc Żydów z walizkami i tobołami. Wśród nich był znany rabin z Jazłowca, R. Simcha-Yoel z rodziną. Poza tym byli Żydzi ze Złotego Potoka, z Czortkowa pochodziło małżeństwo, dwie 18-letnie dziewczyny Tanche i Nella Steinberg oraz dwóch mężczyzn – milicjantów z getta.

Tatomir wszystkich przywiezionych umieścił w stodole. Tam również sprowadził Elzę z synem. Na poddaszu pozostały wspomniane dwie młode dziewczyny i dwaj milicjanci. Żydzi cały czas spędzali na modlitwie. Zachowywali się przy tym głośno i nie zwracali uwagi, że sąsiedzi mogą ich usłyszeć, co mogło prowadzić do poważnych następstw. Elza zwróciła na to uwagę Tatomirowi, który przyznał jej rację. Zbudował więc schron w ogrodzie. Schron był zatłoczony do ostatnich granic, zwłaszcza że ludzie zabrali ze sobą bagaż.

Synek Elzy nie znosił ciemności, a poza tym dziecko było wygłodzone, więc często płakało. Nie pomagały żadne bajki opowiedane mu przez matkę. Chłopczyk mówił: „jak dostanę chleba, to nie będę płakał przez 20 lat, nawet jeżeli 20 lat to długo.”

W jakiś czas potem, w nocy przyszła policja ukraińska szukając Żydów. Znaleźli czworo młodych ludzi na poddaszu stodoły i zabrali ich na posterunek. Na szczęście nie znaleźli schronu w ogrodzie. Gospodarz, przestraszony tymi wydarzeniami, zarządził, żeby wszyscy opuścili schron niezwłocznie. Obawiał się, że schwytani młodzi ludzie nie wytrzymają tortur i wyjawią, że przechowuje on również Żydów w ogrodowym schronie. Zaproponował im ucieczkę do lasu, a on wraz z synem w tym czasie miał usunąć ślady ich bytności. Nie dał się przekonać argumentacji, że policja po ujęciu tych czterech osób już nie przyjdzie szukać schronu w ogrodzie.

Obejście Tatomira Żydzi opuścili, gdy było ciemno, żeby nikt ich nie zobaczył. Bagaże swoje pozostawili, gdyż były za ciężkie do niesienia. Bez nich mogli się swobodniej poruszać. Liczyli też na to, że tu wrócą, gdy Tatomir opanuje swój strach. Sytuacja Elzy była gorsza niż innych ukrywających się, gdyż miała ze sobą dziecko. Postanowiła wrócić do Tatomira. Gospodarz był zaskoczony jej powrotem. Właśnie z synem opróżniali schron z walizek i paczek.

Elza weszła do mieszkania i płacząc prosiła Julię Tatomirową o ukrycie jej i dziecka. Julia Tatomir była serdeczną i uczuciową kobietą. Ogarnęła ją litość nad nieszczęsną matką z dzieckiem. Położyła dziecko Elzy do łóżka, a ją samą zaprowadziła do kurniku. Wchodząc do środka Elza zobaczyła w nim owych dwóch młodych mężczyzn, których zabrała policja. Okazało się, że po drodze udało się im uciec, natomiast dziewczęta zostały zatrzymane. Zaprzyjaźniony z policją syn Tatomira postarał się jednak o zwolnienie zabranych dziewcząt i przyprowadził je do domu.

Wkrótce młodzi, z wyjątkiem jednej dziewczyny udali się również do lasu. Julia Tatomirowa dała im na drogę chleb i pożegnała serdeczną modlitwą, prosząc Boga o ich ocalenie.

W tym czasie w okolicy pojawiła się duża grupa partyzantów sowieckich, którzy stanowili część brygady generała Kowpaka. Działalność ich wywoływała przerażenie u Niemców i Ukraińców. (Można przypuszczać, że nadzieja dołączenia do oddziałów partyzanckich skłoniła tych młodych ludzi do opuszczenia dotychczasowej kryjówki – przyp. red.).

Niestety, wszyscy, którzy udali się do lasu, zostali potem złapani przez Niemców.

Kryjówkę w kurniku stanowiła jama, w której można było jedynie siedzieć, o położeniu się nie było mowy. W jakiś czas potem gospodarz przyprowadził jeszcze kilkoro ukrywających się Żydów. Warunki bytowania były ciężkie. Nasza jama – wspomina Elza – była wysłana nigdy nie zmienianą słomą. Na miejscu załatwialiśmy swoje potrzeby fizjologiczne. Jamę odkrywano raz dziennie, gdy córka gospodarza przynosiła nam posiłek: zupę zbożową i trochę kartofli. Poza tym momentem nie oglądaliśmy światła dziennego w ogóle.

Oprócz wszystkich niewygód stale towarzyszył nam strach przed wykryciem naszej kryjówki.

Pewnego razu Tatomir pojechał do Czortkowa, gdzie upił się i gdy na żądanie policjantów nie zatrzymał się został przez nich zastrzelony. Po jego śmierci rodzina chciała, żeby Żydzi opuścili ich dom, ale wspomniany zięć Tatomirów nie zgodził się na to. Teraz on czuł się głową rodziny i wszyscy musieli go słuchać.

Warunki naszego bytowania – wspomina Elza – stale pogarszały się. Kiedy spadł śnieg jama zaczęła nasiąkać wodą, tak że stale byliśmy mokrzy. Nasze ubrania rozpadały się.

Tak cierpieliśmy do marca 1944 r. Gdy wojska sowieckie zbliżyły się do tych terenów, każdy wystrzał armatni napawał nas nadzieją, że zbliża się koniec naszej męki. Z chwilą wyzwolenia nie bardzo wiedzieliśmy, co robić z naszą wolnością – wspomina dalej Elza. Długie przebywanie w pozycji skulonej spowodowało, że nasze nogi straciły swą elastyczność. Z trudem poruszaliśmy się. Reumatyzm atakował stawy.

Wierzyliśmy jednak, że zaczynamy żyć od nowa. Udaliśmy się do Buczacza, gdzie spotkaliśmy Żydów, którym udało się uniknąć zagłady. Na nieszczęście nie liczyli się oni z możliwością kontr-uderzenia ze strony Niemców. Gdy jednak to nastąpiło i Niemcy ponownie zajęli miasto, rozprawili się z Żydami w nim przebywającymi – zaczęli ich wylapywać i mordować. Dużo Żydów straciło życie w tej akcji.

Gdy Jazłowiec wpadł ponownie w ręce Niemców – wspomina dalej Elza – wróciliśmy znowu do kryjówki w kurniku. Sytuacja nasza była jeszcze gorsza niż poprzednio. Gdyż w domu Tatomirów zamieszkali Niemcy. Czasem minęło kilka dni zanim ktoś z tej rodziny zjawił się, żeby dostarczyć nam jedzenie i wodę. Z uwagi na zbliżający się front przyszedł rozkaz ewakuacji całej cywilnej ludności z miasteczka. Gdybyśmy pozostali sami, na pewno zmarlibyśmy z głodu. Przed wieczorem – relacjonuje Elza – wyszłam z kryjówki i poprosiłam Tatomirową, która przysłała wydoić krowę, o wodę i kawałek chleba, zanim ich rodzina wyjedzie, tak żebyśmy mogli przetrwać jeszcze jeden dzień, a być może w tym czasie Rosjanie wrócą.

Rzeczywiście za dwa dni, 25 lipca 1944 r. wojska rosyjskie ponownie wkroczyły do Jazłowca – byliśmy wolni. Julia Tatomirowa zaprowadziła nas do dowódcy rosyjskiego, żeby stwierdzić, że ukrywała Żydów. Komendant, gdy zobaczył nasze blade, wynędzniałe twarze i podarte ubrania, skrzyczał Tatomirową, że źle musiała traktować ukrywanych Żydów. Chyba sam był Żydem. Kazał nam natychmiast dać żywność i pieniądze, a żołnierzowi rozkazał zaprowadzić nas do Czortkowa.

W Czortkowie kobieta z Tłumacza, Mina Bikeles, dostarczyła nam ubrań i żywności. Następnie udaliśmy się do Tłumacza, spodziewając się zastać tam kogoś z rodziny. Nie zastaliśmy jednak nikogo.

Po wojnie Elza z synem wyjechali do Polski. Tutaj trochę odżyli, ale Elza zdawała sobie sprawę, że musi wjechać gdzieś dalej, jeżeli chce założyć rodzinę i zacząć nowe życie. Wyszła za mąż za Bernsteina i razem wyjechali do Australii.

Z rodziną Tatomirów pozostawała w stałym kontakcie.

Znając szczegóły przeżyć matki i syna w czasie okupacji niemieckiej, aż trudno pojąć, jak tych dwoje zniosło tak niewiarygodnie ciężkie warunki życia. Trzeba zrozumieć olbrzymią siłę słowa „macierzyństwo”, gdyż prawie jest pewne, że Elza nie zniosłaby tych wszystkich trudów, gdyby stale nie myślała o ratowaniu swego dziecka.

Jeżeli chodzi o rodzinę Tatomirów to na zawsze pozostanie ona we wdzięcznej pamięci tych Żydów, których uratowała, jak i całej społeczności żydowskiej.

Rodzina ta zasłużyła na wpisanie jej do księgi „prawych chrześcijan”, gdyż to ona udzieliła schronienia ludziom żydowskiego pochodzenia w czasie szalejącej burzy. I chociaż burza była potężna, a port mały, to wystarczył na przetrwanie sztormu.

(c.d.n.)

## Wiadomości z życia tłumaczan

### Zauroczeni polskim morzem... oraz refleksje osobiste

Roma Lityńska-Króliczek

W dniach 1 – 14 czerwca 1998 r. odbył się uświęcony wieloletnią tradycją Zjazd Tłumaczan w Kołobrzegu, zorganizowany przez Zarząd Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan we Wrocławiu, za co organizatorom w imieniu uczestników zjazdu składam gorące i serdeczne podziękowania.

W Kołobrzegu spotykamy się już szereg lat – jesteśmy mile widziani w Wojskowym Ośrodku Wypoczynku Doraźnego, czujemy się tam tak, jak u siebie w domu. Drobne niedociągnięcia wynagradza nam piękne położenie ośrodka, gościnność i serdeczność gospodarzy, bliskość morza i oczywiście pogoda – specjalnie „zamawiana” na nasz przyjazd.

Nic też dziwnego w tym, że licznie zjeżdżają się tu tłumaczanie z całej Polski i z zagranicy, żeby przez kilkanaście dni nacieszyć się sobą, pobyć razem, powspominać dawne dzieje, pochwalić się swoimi sukcesami i podzielić smutkami. Jesteśmy wszak jedną wielką rodziną i tak, jak w każdej prawdziwej rodzinie radości i smutki dzielimy razem i każdego roku, zaraz przy pożegnaniach już myślimy o ponownym spotkaniu. To cudowne ludzkie uczucia i nie każdy potrafi to zrozumieć, że łączy nas gorący patriotyzm, jednoczy miejsce pochodzenia z przepięknej, bogatej niegdyś krainy, mlekiem i miodem płynącej; tam gdzie złote zboża rosły wysoko, a gorące promienie słońca znajdowały się nawet w zjadanej przez nas mamałydze, dodając jej niepowtarzalnego smaku i aromatu.

Z tej ziemi wywodzili się nasi pra–pra–pradziadowie, na tej cudownej ziemi porodziliśmy się i my. Krew przelana przez naszych przodków użyźniała ją i uczyniła piękniejszą i droższą – to my byliśmy solą tej ziemi.

Niezbadane wyroki boskie, a może zli ludzie zmusili nas do opuszczenia tego, co było dla nas najcenniejsze w życiu – chcieli nas pozbawić tożsamości i kraju urodzenia. My jednak w naszych sercach starannie przechowujemy pamięć o zaistniałych wydarzeniach i przekazujemy to naszym wnukom. Żyjemy teraz w innej rzeczywistości i w innych miejscach. To nasza Polska, którą gorąco kochamy, tu porodziły się nasze dzieci i wnuki, ale we wspomnieniach wracamy do tego, co utraciliśmy bezpowrotnie. Dopóki naszego życia – ziemia rodzinna pozostanie w naszych myślach i sercach.

Przepraszam, że zboczyłam z tematu, miałam pisać o spotkaniu Tłumaczan w Kołobrzegu, ale to się z sobą wiąże, bo chciałam podkreślić, co nas przez te wszystkie lata tak ze sobą łączy, jednoczy.

Wracam do głównego tematu: otóż po rozczulających powitaniach, uczestnicy spotkania rozlokowali się w swoich domkach, rozpakowali się. Niektórzy poszli spać, po długiej męczącej podróży; byli i tacy, którzy natychmiast poszli przywitać się z morzem, bo pogoda była prześliczna, a orzeźwiająca morska bryza łagodziła

skutki zmęczenia. Z przykrością stwierdziliśmy, że wielu Tłumaczan nie przyjechało z ważnych powodów. Odczuliśmy bardzo nieobecność przemiłej Stefci Mańkowskiej, kochanej i pełnej wigoru Janeczki Sokołowskiej, Celinki Chrzanowskiej – pogodnej, łagodnie uśmiechniętej Bronci Burczyńskiej – naszego słowiczka, Janinki i Nuśka Johnsonów z akordeonem, Danusi Tabińskiej-Juhasz i jeszcze paru osób, których nazwisk nie jestem w stanie wymienić, bo nie pamiętam. W każdym bądź razie wiem, że wszyscy nieobecni Tłumaczanie „myślni i sercem” byli razem z nami – jak napisała do nas Stefci Mańkowska.

Pogoda nam dopisała – było słonecznie i ciepło, toteż większość czasu spędzaliśmy na spacerach brzegiem morza lub na „patelni” korzystając umiarkowanie z kąpeli słonecznych. Było tłumackie „rajowanie”, były śpiewy, herbatki przed domkami na wolnym powietrzu, było ognisko połączone z pieczeniem kiełbasek, recytacje i śpiewy naszych wnucząt. W dziecięcych występach błyszczała talentem wnuczka Krysi i Julka Piotrowiczów, też Krysia. Deklamowała bardzo pięknie wierszyki i bez tremy śpiewała piosenki czystym dziecięcym głosem. Byliśmy zachwyceni wykonaniem i doбором repertuaru, co było z pewnością zasługą babci Krysi. Bravo Krysiu! Trzymaj tak dalej!

Czesia Koczwarówna urządziła swojej wnuczce piękne przyjęcie urodzinowe. Kamelka zaprosiła wszystkie dzieci i pięknie odgrywała rolę pani domu. Na stole królował tort urodzinowy ze świeczkami. Na deser podano lody. Dzieci były uszczęśliwione. Wszystkim uczestnikom zjazdu było miło, wesoło i radośnie.

We wtorek 2 czerwca w kołobrzeskim kościele parafialnym odbyła się uroczysta Msza św. w intencji wszystkich żyjących Tłumaczan oraz za dusze naszych bliskich i drogich, którzy opuścili ziemski padół. Oczywiście – wszyscy uczestnicy spotkania brali czynny udział w gorących modłach do naszego Pana Boga i Stwórcy.

Smutną wiadomość przyniósł nam z Wrocławia Jurek Czyżycki. Siostra Danusi Tabińskiej-Juhasz Lala Tabińska zasnęła w Panu i stanęła przed sądem Najwyższego, co wywołało w nas głęboki żal i pełne skupienia zadumanie. Powiało smutkiem. Nie tak dawno opłakiwaliśmy żałośnie stratę Irenki Burczyńskiej – pięknej, wspaniałej kobiety. Stanowiła postać pełną czaru i wdzięku, niezwykła indywidualność, chodząca łagodność i skromność, a przy tym, co za wspaniały umysł i inteligencja, oraz wzór dobroci. Wspominamy Cię, Irenko, bardzo ciepło i serdecznie, sądzimy, że Pan Bóg Miłosierny pozwoli nam się z Tobą spotkać w innym, lepszym świecie pozbawionym zła i nikczemności. Smutne to, iż z naszego grona wciąż ktoś odchodzi na zawsze. To nieodwracalna kolej losu, my żyjemy i musimy cieszyć się każdą godziną, każdym dniem podarowanym nam przez Stwórcę. Musimy czynić dobro i



nieść miłosierdzie, bo tylko z tym staniemy przed Sądem Najwyższego.

Wracam ponownie do właściwego tematu – zjazdu.

Dnie mijały szybko, na nudę nie było czasu, atmosfera serdeczna, rodzinna, pełni zadowolenia, optymizmu, w miarę opaleni, spostrzegliśmy, że zbliża się nieubłagalny czas rozstania. Urządziliśmy koalicję pożegnalną, na której prym wiodła nasza kochana, pełna życia i humoru „Estrada”, czyli Irenka Pełech-Ruszel. Zawsze wesoła, uśmiechnięta, z nadzwyczajną werwą energią bawiła wszystkich. Śpiewała, opowiadała dowcipy oraz rozdawała swoje wiersze pisane podczas dalekich podróży zagranicznych. W czasie przerw w występach, odwołała mnie na stronę, pytając: Roma – oceń, czy to było dobre? A to może być? Czy dałam Ci swoje wiersze z dedykacją, czy ładnie wyglądam? Odpowiadam Ci teraz Irenko: tak – wszystko, co robisz: śpiewasz pięknie, żartujesz, żeby nas rozbawić, piszesz romantyczne wiersze, napawające zadumą i tęsknotą za czymś utraconym, nieuchwytnym; to wszystko jest cudowne. Podziwiam Cię za to, że tyle młodości w Tobie, tyle radości życia, niespożytej energii. Żyj nam dwieście lat, śpiewaj nam pięknie i rozweselaj nasze zjazdy swoją obecnością. Bądź nadal naszą rozbawioną „Estradą”. Pozostań zawsze młodą, przy Tobie i my zapominamy o naszych latach.

Kolacja pożegnalna wprawiła nas w chwilę powagi i zadumy, że spotkanie tak szybko minęło, trzeba się pakować, bo od rana zaczną się pożegnania i wyjazdy do domów.

Nie lubię pożegnań, bo zawsze bywają smutne, a zwłaszcza między nami, nie wiemy, co nam przyniesie los i czy się jeszcze w życiu spotkamy, chociaż każdy z nas sobie tego najusilniej życzy. „Kap... kap... płyną łzy” – uściski, całusy i gorące zapewnienia o spotkaniu się w przyszłym roku, na opłatku we Wrocławiu i na

zjeździe w Kołobrzegu, ostatnie życzenia zdrowia i szczęśliwej podróży.

Ośrodek powoli pustoszeje, zostaje jeszcze parę osób, które wyjeżdżają w późniejszym terminie, m.in. Renia Hyndyńska i ja. Idziemy jeszcze pożegnać się z morzem, pospacerować brzegiem plaży i obejrzeć przedcudowne, opisywane przez tylu poetów zjawisko: niepowtarzalny zachód słońca.

Jest cicho, spokojnie. Plaża opustoszała, fale łagodnie biją o brzeg, parę krzykliwych mew krąży w pobliżu. W oddali na ławce widać sylwetkę siedzącego tyłem do nas mężczyzny. Zdziwiona, pytam się Reni, kto to może być, ale Renia też nie wie. Podchodzimy bliżej i poznajemy, że to Gieniusz Wysoczański. Siedzi nieruchomo, oczy w zachwycie wpatrzone w cud zachodzącego słońca. Twarz poważna, ogarnięta tęsknym rozmarzeniem. „Zauroczony” – pomyślałyśmy, kiedy na nasze pytanie: czemu Gieniusz nie idzie na dworzec? – nie odpowiedział ani słowem, nie dostrzegł nawet naszej obecności. Ponowiłam pytanie, Gienio skoczył jak oparzony i pyta: która godzina? Spokojnie Gieniusz – odpowiedziałam – akurat zdążysz wziąć walizkę i w samą porę zajeżdżać na dworzec, ale gdyby nie my, to z pewnością przegapiłbyś wieczorny pociąg do Krakowa. Ja tylko oglądałam raz jeszcze cud natury – zachód słońca nad morzem. Zrozumiałyśmy go doskonale, bo i nas to cudowne zjawisko „zauroczyło”. Pożegnałyśmy Gieniusia, a potem długo jeszcze z Renią śmiałyśmy się z zabawnego incydentu.

Wszyscy jesteśmy „zauroczeni” morzem i ze względu na powyższe bardzo prosimy nasz Zarząd o zorganizowanie spotkania w przyszłym roku jak zwykle w „naszym” kołobrzesckim ośrodku. Wszystkim najmilszym Tłumaczanom – tym w Polsce i tym, których los rozrzucił po szerokim świecie życzę po stokroć zdrowia, ślę moc serdecznych pozdrowień – do zobaczenia się za rok w Kołobrzegu. □

## Z protokołu...

### Jerzy Czyżycki

Jak co roku zjechali się tłumaczenie na swój dwutygodniowy wczasowy pobyt w Kołobrzegu.

Tym razem był to pierwszy rok działalności Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan.

W dniu 8 czerwca 1998 r. odbyło się walne zgromadzenie z udziałem 39 członków oddziału. Na zebraniu tym Zarząd złożył sprawozdanie z rocznej działalności.

Sprawozdanie obejmowało:

- a) zagadnienia organizacyjne
- b) gospodarkę finansową za rok 1997
- c) sprawy wydawnicze (Zeszyty Tłumackie).

Sprawozdanie zostało przyjęte przez zebranych jednomyślnie. Wniosek Komisji Rewizyjnej o udzielenie absolutorium Zarządowi za działalność w roku 1997 został przyjęty jednogłośnie.

Na wniosek Zarządu podjęto uchwałę by przeznaczyć 1 000 zł na zakup pomocy naukowych dla polskich klas w Stanisławowie.

## Wierszyk Oleńki

*Ukochane babcie, ciocie,  
Wujki, dziadki i wujenki,  
Zawsze na tych zjazdach słucham,  
Jak śpiewacie swe piosenki  
Gdzieś daleko tam na wschodzie,  
Jest Wasz Tłumacz, miasto stare,  
O nim ciągle wspominacie,  
Nie rozumiem tego wcale.  
Nie wiem czy tam będę kiedyś,  
I zobaczę ja ten Tłumacz,  
Może wtedy Was zrozumieć,  
Pojmę czego dziś nie umiem.  
Ale jak ja tam pojedę,  
Był tam dziadzius z moim tatą,  
Wtedy ja Wam tu opowiem,  
Co widziałam! Co Wy na to?*

Powyższy wierszyk deklamowała ślicznie na Zjeździe Tłumaczan wnuczka Jurka Czyżyckiego.

# Uroczystość odsłonięcia Pomnika-Krzyża Ofiar Katynia i Syberii

Danuta Tabińska-Juhasz



W 58 rocznicę rozstrzelania z rozkazu Stalina polskich oficerów i funkcjonariuszy policji w Katyniu, Charkowie, Miednoje oraz tysięcy Polaków zamordowanych w więzieniach i zamęczonych w gułagach Wschodu, odsłonięto na cmentarzu parafialnym św. Jacka we Wrocławiu-Swojczytach pomnik Krzyż Ofiar Katynia i Syberii. Uroczystość poprzedziła Msza św., apel poległych. Patriotyczne utwory grała orkiestra wojskowa Śląskiego OW. Uczestniczyły poczty sztandarowe Rodzin Katyńskich, Związku Sybiraków, Żołnierzy AK oraz wielu Sybiraków i Kresowiaków zamieszkałych nad Odrą.

Miło nam zawiadomić, że do powstania pomnika najbardziej przyczynili się nasi tłumaczenie: jako sponsorzy Irena i Stanisław Panachidowie z USA, Roman Sak z Australii, drobne datki wnieśli też między innymi nasi tłumaczenie.

Głównym zaś organizatorem budowy monumentu ofiar Katynia i Syberii była Anna Panachida-Bocheńska. Tą drogą składamy najserdeczniejsze podziękowania naszej Koleżance oraz wszystkim organizatorom za trud organizacyjny w upamiętnieniu ofiar, którymi również byli nasi tłumaczenie.

Zarząd Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan  
i Redakcja Z. T.

## Przeżyjemy to jeszcze raz (c.d.)

*Spotkania i zjazdy Tłumaczan 1945 – 1995*

Janina Petrus-Duszyńska

*Pośpieszyliśmy się mocno ze zjazdami Tłumaczan i spotkanie w Koszalinie (1978 r.) oraz w Sopocie (1979 r.) umieściliśmy przed zjazdami, które odbyły się wcześniej. Niniejszym błęd nasz prostujemy, a Autorkę tekstu gorąco przepraszamy.*

Redakcja

10-11 września 1966 roku  
Warszawa

W tych dniach odbył się drugi po wojnie, a czwarty w historii naszej szkoły, zjazd absolwentów Państwowego Gim-

nazjum w Tłumaczu, tym razem z okazji 40-tej rocznicy zdania matury w 1926 roku. Zorganizował go Michał Nikosiewicz.

W zjeździe uczestniczyło ponad 20 osób, a wśród nich: Józef Burda, ks. Roman Dacą, Tadeusz Domaszewski, Antoni Dunicz z żoną, Julian Jaciuk, Marian Kasperski, Rudolf Kurczab, Eugeniusz Linscheid, Józef Macalski, Michał Nikosiewicz, Stanisław Prośba oraz dyr. Stanisław Mendrala i kilku byłych uczniów Gimnazjum Tłumackiego mieszkających w Warszawie.

Pierwszy dzień zjazdu rozpoczął się mszą św. odprawioną przez księdza Romana Dacę, podczas wspólnego obiadu, który odbył się w mieszkaniu pp. Nikosiewiczów, dyrektor Mendrala odczytał swoje wspomnienia z pobytu w Tłumaczu. Stało się to hasłem do snucia wspomnień i opowiadania różnych anegdot z lat przeżytych

przed wojną w Tłumaczu przez prawie wszystkich uczestników zjazdu.

Po południu tego dnia zwiedzano Warszawę, a wieczorem wzięto udział w przedstawieniu teatralnym. W programie drugiego dnia także było zwiedzanie miasta, w tym Łazienek. Wykonano wówczas wiele pamiątkowych zdjęć.

W czasie posiłków kontynuowano wspomnienia minionych 40 lat życia, a wieczorem wzięto udział w spektaklu operowym.

Podczas tego zjazdu złożono sobie uroczyste przyrzeczenie, że następne spotkania muszą się odbywać częściej niż raz na 10 lat.

### 3 marca 1968 roku Wrocław

Kolejne koleżeńskie spotkanie grupy Tłumaczan odbyło się w mieszkaniu Jerzego Rostropowicza. Okazją było odnalezienie się nowych członków „tłumackiej rodziny”.

Udział w nim wzięło 13 osób. Byli to: Luka Bilińska, Zbigniew Bojczuk, Michał Dasiewicz, Krystyna Gałdzicka, Zygmunt Gałdzicki, Krystyna Ossowska-Korta, Maria Laner-Adamczyk, Halina Rostropowicz, Józefa Starzycka-Weberbauer, Danuta Tabińska-Juhasz, Lala Tabińska. Na spotkanie byli również zaproszeni, ale z różnych powodów nie przybyli: Julian Piotrowicz, Janusz Bielański oraz koledzy Panek i Kruszelnicki.

Przesyłając pozdrowienia od uczestników Janinie Petrus-Duszyńskiej, Danuta Tabińska napisała m.in.: „Panek wyjechał do Tłumacza, więc będzie okazja do nowego spotkania. Bawiliśmy się do rana, atrakcją wieczoru był Władek Geruła, którego jeszcze nie widzieliśmy. Wybacz kochanie, za pismo i chaos, ale piszę w łóżku, bo zaziębiłam się przy tych ognistych tłumaczanach”.

### 3-5 września 1971 roku Katowice-Ligota

Choć minęło parę lat, tłumaczanie mieli znów okazję do spotkania, a był nią trzeci po wojnie, a piąty w historii naszej szkoły zjazd absolwentów Państwowego Gimnazjum w Tłumaczu z okazji 45-lecia zdania matury w 1926 roku. Odbyła się ona w Katowicach-Ligocie głównie dlatego, że mieszkało tam wówczas czworo absolwentów, spośród których dwaj – Włodzimierz Masiewicz i Eugeniusz Linscheid – podjęli się zorganizowania zjazdu, a liczna grupa z Bytomia, Opola, Krakowa, Wrocławia i Miechowa miała tam dogodny dojazd.

Zaproszenia na zjazd otrzymało 24 osoby, spośród których przybyli jednak tylko: dyr. Stanisław Mendrala, ks. dr Mikołaj Witkowski, ks. dr prałat Roman Daca, Marian Chirowski, Tadeusz Domaszewski z żoną, Julian Jaciuk, Marian Kasperski, Karol Kraus, Rudolf Kurczab z żoną, Eugeniusz Linscheid, Kazimierz Łoziński, Józef Macalski, Waleria Masalska-Wakulicz, Włodzimierz Masiewicz, dr Michał Nikosiewicz, Stanisław Prośba i Bronisław Zuber. Pozostali z zaproszonych nie przybyli, niestety z powodu złego stanu zdrowia.

Miejscem zakwaterowania był hotel PTTK, położony na terenie Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Następnego dnia po przyjeździe w godzinach przed południowych zwiedzano park, korzystając z parkowej kolejki terenowej, którą dojechano do planetarium, a stamtąd kolejką linową powrócono do hotelu. Tam o godz. 13.00 w sali bankietowej odbył się wspólny obiad. Po serdecznym

powitaniu przez gospodarzy zaczęły się przemówienia, wspomnienia i toasty.

Przy biesiadnym stole przewodniczył ks. dr Mikołaj Witkowski, wspominając lata, kiedy był katechetą, wykładowcą i gospodarzem klasy. Potem wspomniano poprzednie zjazdy i kolegów, którzy nie przyjechali. W miłej atmosferze upłynął czas do godz. 16, potem korzystając z pięknej pogody udano się na dalsze zwiedzanie parku i położonego na jego terenie Stadionu Śląskiego oraz innych osobliwości Chorzowa.

O godz. 19 zebrano się ponownie w sali bankietowej hotelu. Przy wspólnej kolacji snuły się dalej wspomnienia z lat młodzieńczych, szkolnych, mówiono też o przeżyciach późniejszych i tak upłynął czas aż do północy.

Następnego dnia 5 września rano, uczestnicy „przenieśli” się taksówkami do Ligoty, gdzie o godz. 9.00 w kościele SS. Służebniczek odbyło się nabożeństwo koncelebrowane przez ks. dr. Mikołaja Witkowskiego w asyście ks. dr. prałata Romana Dacy. Ks. Witkowski wygłosił wzruszające kazanie.

Po nabożeństwie udano się do państwa Masiewiczów w Katowicach, gdzie pani domu Zofia Burkiewicz-Masiewiczowa mimo „przykucia” na stałe do fotela, przygotowała przyjęcie. Po raz pierwszy od wielu lat miała możliwość spotkać się z tłumackimi wychowawcami i kolegami, i wziąć udział przynajmniej w części zjazdu. Choć wszyscy szczerze współczuli jej niedoli, był gwar i radosne okrzyki, śmiech i łzy. Świetne torty, kawa i herbata przygotowane przez dzieci państwa Masiewiczów zyskały powszechne uznanie.

Zjazd zamknęło kolejne katowickie spotkanie, tym razem w mieszkaniu Eugeniusza Linscheida oraz jego siostry Antoniny. Do zebranych przy zastawionych stołach z obfitym jadłem i napitkiem zwrócił się dyr. Mendrala, w serdecznych słowach dziękując za zaproszenie i wyraził zadowolenie, że już po raz trzeci po wojnie dane mu jest spotkanie się w gronie swoich byłych uczniów. Ożywionym rozmowom i wspomnieniom nie było końca. Marian Chirowski przedstawił swoje przeżycia w czasie wojny, Michał Nikosiewicz odczytał list z USA od Kazimierza Bilińskiego, który wyrażał żal, że nie może brać udziału w spotkaniu, przesyłając uczestnikom serdeczne pozdrowienia i obiecując przyjechać na „Złoty Pięćdziesięcioletni Jubileusz”. Dwaj uczestnicy z innych roczników, Kraus i Łoziński, również podziękowali za zaproszenie na zjazd i serdeczne przyjęcie ich do grona koleżeńskie.

Postanowiono spotykać się częściej, każdego roku.

Do uczestników nieobecnych wysłano wspólnie podpisane pozdrowienia z katowicko-chorzowskiego zjazdu. Stanisław Prośba zgłosił gotowość przygotowania spotkania w następnym roku w Krakowie. Pomoc w zorganizowaniu tej imprezy przyrzekli ks. dr Roman Daca i Tadeusz Domaszewski, a na apel Walerii Masalskiej-Wakuliczowej zebrano od uczestników datki na miejscowy kościół.

W godzinach popołudniowych zaczęto się rozjeżdżać.

### 15 sierpnia 1972 roku Kozłowice

Tym razem w spotkaniu udział wzięły jedynie same panie: Mila Burczyńska, Janka Kubrynowicz, Hela Panicz i Elenora Wojdyłówna. Uczestniczki wysłały do dr Michała Nikosiewicza pozdrowienia następującej treści: „Drogiemu p. Dzikowi, mini zjazd w Kozłowicach przesyła pozdrowienia i na odległość całuje – Mila Burczyńska.

**czerwiec 1974**  
**Wrocław**

Czwarte po wojnie, a szóste w historii spotkanie absolwentów Państwowego Gimnazjum w Tłumaczu odbyło się z okazji 48 rocznicy zdania matury w 1926 roku.

Zgodnie z życzeniami i zapowiedzią uczestników poprzednich spotkań zjazd ten odbył się już w trzy lata po spotkaniu w Katowicach-Ligocie. Jego organizacją zajęli się z pełnym poświęceniem Julian Jaciuk, a uczestniczyło w zjeździe 10 osób: Julian Jaciuk, Marian Kasperski, Włodzimierz Masiewicz, Michał Nikosiewicz, ks. dr Mikołaj Witkowski, Bronisław Zuber oraz zaproszeni goście – Kazimierz Grzegorzczak, Karol Kraus, Antoni Tuzinkiewicz i, w zastępstwie Marii Ossowskiej, jej córka Krystyna.

Przyczyną stosunkowo małej liczby uczestników tego spotkania było to, że w latach po zjeździe w Katowicach-Ligocie los bardzo srogo doświadczył to grono przyjaciół. W 1971 r. zmarł prof. Stanisław Dąbek, w 1972 r. prof. Marian Mierzwiński i w Australii Kazimierz Wiszniewski, zaś w 1973 r. zmarli Rudolf Kurczab i Antoni Łukasiewicz. Poza tym dyr. Stanisław Mendrala, ks. Roman Dąca, Józef Burda i Eugeniusz Linscheid – chorowali.

Tak jak we wrześniu 1971 roku, i tym razem mszę św. odprawił i kazanie wygłosił ks. dr prof. Mikołaj Witkowski.

Na wspólny obiad zaprosił wszystkich Julian Jaciuk do swojego domu.

Wówczas postanowiono, że następne spotkanie należy zorganizować z okazji złotego jubileuszu – 50 lecia zdania matury, czyli w roku 1976, a grono uczestników zjazdu poszerzyć o starszych i młodszych kolegów.

**4-6 czerwca 1976 roku**  
**Warszawa**

Był to „Złoty Jubileuszowy” zjazd absolwentów Państwowego Gimnazjum w Tłumaczu z okazji 50-lecia zdania matury (1926 r.) – piąte spotkanie po wojnie, a siódme w ogóle, tego grona wspaniałych przyjaciół i niezwykle wartościowych ludzi.

Organizacją zjazdu zajęli się dr Michał Nikosiewicz i Józef Macalski z Warszawy oraz poważnie chory od kilku lat Julian Jaciuk z Wrocławia.

Prawie wszyscy zgodzili się na Warszawę jako miejsce zjazdu. Zgodzono się także na poszerzenie grona zaproszonych o młodsze i starsze roczniki. Wysłano około 50 zaproszeń.

Chęć uczestniczenia wyraziło 35 osób, a udział wzięło 27 osób. Byli to: Kazimierz Biliński z żoną, Adam Borucki, ks. Roman Dąca, Tadeusz Domaszewski, Antoni Dunicz, Marian Haraszkiewicz, Edward Jaworski, Karol Kraus, Gustaw Ładziński z żoną, Kazimierz Łoziński, Waleria Macalska-Wakulicz, Józef Macalski z żoną, Władysław Mankowski, Włodzimierz Masiewicz, Mariann Chirowski, Maria Molisak-Ossowska, Karol Mytnik, Maria Nikosiewicz, Michał Nikosiewicz z żoną, Jan Wąsowicz i Bronisław Zuber. Tych, którzy przyjechali, zakwaterowano: w „Domu Chłopa” 4 osoby, w hotelu „Nauczycielskim” 5 osób, w „Hospicjum dla księży” 2 osoby, pozostali zaś mieszkali u krewnych, znajomych i kolegów.

Przebieg zjazdu niewiele różnił się od opracowanego programu i był następujący: 4 czerwca o godzinie 10 zebrano się w mieszkaniu Michała Nikosiewicza, skąd udano się na Plac Dzierżyńskiego, gdzie o godz. 13, zamówionym autokarem z przewodnikiem, rozpoczęto

2,5-godzinną wycieczkę po Warszawie. Po zakończonym zwiedzaniu uczestnicy wstąpili do nowo otwartej kawiarni na Placu Teatralnym. Stąd, rozgrzani i pokrzepieni, udali się do stołówki Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, a po posiłku pojechali do teatru Syrena na rewię pt. „Oby nam się”.

5 czerwca, czyli w drugim dniu zjazdu, najpierw odbyła się msza św. odprawiona w kościele ss. Wizytek przez ks. dra prałata Romana Dacę który w wygłoszonym kazaniu powiedział m.in. „... dziękuję Bogu i Michałowi Nikosiewiczowi za dzisiejszy poranek. Bogu dziękuję za to, że pozwolił nam przeżyć go w pokoju i zwycięskiej Polsce, w odbudowanej Warszawie, w słońcu, w zdrowiu i wśród Was, drodzy, najmilszy koledzy dzieciństwa i szkolnej ławki. Dziękuję Michałowi Nikosiewiczowi za to, że jak przysłowiowa kokosz gromadzi i chroni swoje pisklęta, tak on przychodzi z sercem do każdego kolegi z tłumackiego gimnazjum i za to, że zebrał tyle materiałów o naszym gimnazjum i Tłumaczu, tej małej miejscinie, która teraz, po latach, nie tylko nie ulega zapomnieniu, ale żyje w nas nadal, rozjaśniana wspomnieniami naszej młodości.”

Po mszy św. wszyscy udali się do mieszkania pp. Nikosiewiczów, gdzie odbyło się kilkugodzinne zebranie koleżeńskie. I znów, jak przed 20 laty poznawano się i rozpoznawano po latach niewidzenia się. Były rozmowy, przemówienia, wspominki o kolegach i profesorach. Głos zabierali: Jan Wąsowicz, Kazimierz Biliński, Karol Mytnik i Michał Nikosiewicz, a Marian Chirowski odczytał spisane przez siebie wspomnienia z lat spędzonych w gimnazjum tłumackim. Następnie Michał Nikosiewicz przedstawił „historię zjazdów koleżeńskich” abiturientów z 1926 roku. Mówiąc o czasach dzisiejszych powiedział m.in. „... szkoda, że w 50 lat po maturze nie możemy zasiąść w tych samych ławkach, w których siedzieliśmy w roku naszej matury, w 1926 roku. I ławek i budynku gimnazjum już nie ma i do miasta przyjechać nie można bez specjalnych zaproszeń i paszportów. Ale gdyby to było możliwe, to niestety wiele miejsc w ławkach byłoby pustych, koledzy, którzy siedzieli w tych ławkach pozostali już tylko w naszej pamięci, w naszych wspomnieniach. Różnie układały się nasze losy, doświadczyliśmy w życiu sukcesów, ale i porażek, lecz staraliśmy się iść przez życie uczciwą drogą. Mimo siwych włosów, łysych głów, zmarszczek na twarzach i czasem pochylonych grzbietów, zachowaliśmy młodość ducha i utrzymaliśmy więź przyjaźni koleżeńskiej. W społeczeństwie zajęliśmy należne nam miejsce. Teraz, kiedy już zakończyliśmy aktywne zawodowe życie, mamy więcej czasu na to, żeby wracać pamięcią do lat szkolnych, lat naszej młodości. I dzisiaj również jesteśmy jak jedna rodzina, a nawet może jesteśmy sobie bardziej bliscy. Bez konfliktów religijnych, narodowościowych, materialnych, bez zawiści zawodowych.”

Następnie Michał Nikosiewicz powiadomił zebranych, że Kazimierz Biliński przysłał na koszt organizacyjny zjazdu 5 dolarów amerykańskich. Pieniądze nie zostały wydane i mogłyby być pierwszą cegiełką ofiarowaną przez zjazd na następujące cele: odbudowę zamku w Warszawie, Centrum Zdrowia Dziecka w Międzyzlesiu, albo jako część funduszu na tablicę pamiątkową dla uczczenia byłych wychowawców i uczniów gimnazjum tłumackiego, którzy zginęli w czasie dwóch światowych wojen.

Po ożywionej dyskusji postanowiono większością głosów zebrane fundusze przeznaczyć na tablicę pamiątkową. Realizacji tego zamiaru podjęli się ks. Roman Dąca, Mi-

chał Nikosiewicz i Antoni Dunicz. Spontanicznie, doraźnie zorganizowana zbiórka wśród zebranych przyniosła 2 100 zł.

Pod koniec spotkania tego dnia mgr Karol Mytnik zaprosił wszystkich obecnych na następny zjazd do siebie, do Koszalina w 1978 roku. Zaproponował, aby był to zjazd wszystkich uczniów Państwowego Gimnazjum w Tłumaczu z okazji 60-tej rocznicy pierwszej matury.

Późnym popołudniem nadeszła pora uroczystego obiadu, trzeba było zakończyć koleżeńskie zebranie i przenieść się do gmachu Wyższej Szkoły Muzycznej, gdzie w dużej sali przy ładnie zastawionym stole ustawionym w podkowie zasiadło 27 osób. Ofitność potraw i pełne szklance wytworzyły wspaniałą atmosferę sprzyjającą wznoszeniu toastów i miłym pogwarkom, co trwało do chwili, kiedy trzeba było udać się do Teatru Polskiego na sztukę Szekspira pt. „Antoniusz i Kleopatra”.

6 czerwca, w ostatnim dniu zjazdu, udano się autobusem do Wilanowa, gdzie zwiedzano Muzeum Pałacowe. Stamtąd też wysłano listy podpisane przez uczestników zjazdu z pozdrowieniami do wychowawców: ks. dr. Witkowskiego i prof. Poźniaka oraz do nieobecnych kolegów.

#### 27 października 1979 roku Wrocław

Uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy ku czci poległych lub umęczonych w latach wojen 1914-1945 byłych profesorów i uczniów Gimnazjum w Tłumaczu była bardzo podniosła.

Jak wiadomo z poprzednich relacji myśl ufundowania takiej tablicy narodziła się z okazji spotkania w Warszawie w czerwcu 1976 roku na Złotym Jubileuszowym zjeździe absolwentów, a inicjatorem był dr Michał Nikosiewicz. Postanowiono wówczas, że tablica zostanie ufundowana z dobrowolnych składek absolwentów tłumackiego gimnazjum. Wykonania tego zadania podjęli się ks. Roman Dąca, Michał Nikosiewicz i Antoni Dunicz.

Komitet organizacyjny musiał wykonać bardzo dużo pracy. Oprócz zebrania odpowiednich funduszy, trzeba było ustalić treść tablicy, to zaś wymagało odnalezienia danych tych osób, których nazwiska miały być na niej umieszczone.

Prowadzono więc bardzo szeroką korespondencję m.in. z rodzinami, Centralnym Archiwum Wojskowym itd. Następnie należało wykonać projekt tablicy i uzyskać zgodę odpowiednich władz na jej umieszczenie w wybranym miejscu. Początkowo zamierzano ją umieścić w jednym z warszawskich kościołów, jednak na to nie uzyskano zgody. Wówczas postanowiono czynić starania we Wrocławiu, zwłaszcza, że w tym czasie do pracy w komitecie bardzo czynnie włączył się dr Karol Kraus – mieszkaniec Wrocławia.

Dzięki ogromnej pracy dr Michała Nikosiewicza, ks. Romana Dący, Antoniego Dunicza i dr Karola Krausa, doszło wreszcie do spotkania tłumaczan we Wrocławiu, w kościele Trzech Męczenników – Św. Stanisława, Św. Doroty i Św. Wacława, który od zakończenia wojny w 1945 roku, do roku 1950, był kościołem pro katedralnym, zastępując katedrę do czasu zakończenia jej odbudowy.

W tym to wspaniałym kościele odbyła się właśnie w 1979 roku, czyli w 40 lat od wybuchu II wojny światowej i od ostatniej matury w Tłumaczu, podniosła uroczystość odsłonięcia pamiątkowej tablicy ku czci cichych bohaterów tego dawnego polskiego miasteczka.

Na uroczystości było obecnych około 100 osób, przybyli z całego kraju krewni tych osób, których nazwiska umieszczono na tablicy, ich koledzy i przyjaciele, byli uczniowie młodszych roczników oraz tłumaczenie zamieszkali we Wrocławiu i okolicy.

Poświęcenia tablicy dokonał, a następnie mszę św. odprawił i okolicznościowe kazanie wygłosił proboszcz wrocławskiego kościoła ks. prałat Czesław Tuzinkiewicz – tłumaczanin i były uczeń gimnazjum i liceum w Tłumaczu. W czasie kazania powiedział m.in.:

„Pragnęliśmy, by ta tablica znaczyła się w tej świątyni prastarej pomnikiem wymownym. Aby każdy, kto przeczyta jej treść, poczuł dreszcz wzruszenia, co nie przemija, lecz się w serce wdraża, lecz z samolubstwa, zagrzewa młode serca. Niech to epitafium napromieniowuje je miłością Ojczyzny.

Niech ta płyta zastąpi nagrobek tym, którzy nie posiadają mogiły, na której mogłyby zapłonąć znicze w Dzień Zaduszny. Wszak cała nasza ziemia jest ziemią mogił i krzyży, żałobnicą niepokieszoną, trumnicy swych dzieci, cmentarzykiem rozległym. Co więcej – daremnie szukalibyśmy niejednych grobów na polskiej ziemi, pod brzozą lub wierzbą płaczącą, przy wiejskim kościółku...

Obozy zagłady, pola dalekiego, obcego świata, ponure lasy, pustynie, góry, dna oceanów – to liczne groby naszych rodaków. Szafowali swą ofiarną krwią, za wolność Ojczyzny nie drożyli się życiem, bijąc wszelkie rekordy waleczności. Świeciły im gromnice płonących miast i wsi. Żegnał Ich często pacierz dzieła i wicher stalowych skrzydeł. Towarzyszył Im szyderczy śmiech butnego ciemieżcy... Pomarli skropieni własną krwią, bo nie było nikogo z bliskich. Prochem krematoriów szeroko rozrzucono po świecie ich święte relikwie. Lecz duchy Ich jasne są tu z nami dzisiaj – w te antycypowane „Zaduszki”, w tę mistyczną godzinę modlitwy. W Chrystusie łączymy się z Nimi, by oddać Im hołd i uczcić ofiarę Ich życia. By polecić Ich Panu Bogu”.

Treść odsłoniętej i poświęconej tablicy – ufundowanej ze składek rodzin, kolegów i przyjaciół zamieszkałych w kraju i za granicą – brzmi:

„Dla uczczenia pamięci profesorów i b. uczniów Państwowego Gimnazjum i Liceum w Tłumaczu woj. stanisławowskie, poległym, zamordowanym i zaginionym w czasie wojen 1914-1920 i 1939-1945.

1915 Lachowicz Michał, Numberg Alojzy

1918 Dolais Marian

1920 Biedroński Henryk

1939 Gawenda Tadeusz, Lacki Franciszek, Mańkowski Mieczysław, Molisak Roman, Rizler Stanisław, Rolewicz Marian Józef, Wojdak Franciszek,

1940 prof. Dębiec Michał, prof. Kędzior Michał, Dubicki Zbigniew, Skliwa Zdzisław, Sobczuk Alfred, Urbaniak Stefan

1941 prof. Rotter Alojzy, Burkiewicz Bolesław, Waligóra Kazimierz,

1942 prof. Eile Samuel, Mostowiak Stanisław

1943 Hollender Antoni Tadeusz

1944 prof. Axenti Maria, Białkowski Henryk, Jarosławski Tadeusz, Kłonowski Marian, Tuzinkiewicz Marian

1945 Cwiakalski Zenon, Kwiecień Zbigniew, Rudolphi Kazimierz

Rodziny i koledzy”  
1979 r.  
(c.d.n.)

## Tłumaczenie piszą

### *Kochani Tłumaczenie!*

Siedzimy z Lalą w ogrodzie i popijamy whisky. Ten trunek ma jedną bardzo ważną zaletę – pobudza wyobraźnię.

Dziś ostatni dzień maja. Wiemy, iż od jutra Tłumaczenie zjeżdżają się do Kołobrzegu, aby uczestniczyć w znanych już na „cały świat” spotkaniach.

Niestety, my tym razem nie możemy do Was dołączyć. Bardzo żałujemy, ale myślami łączymy się z Wami.

Przed oczyma naszymi przesuwają się mniej więcej taki scenariusz: – Włodek Geruła spaceruje nad morzem prężnym, wojskowym krokiem, z założonymi w tył rękami, udając Napoleona czekającego na Józefinę. Jan Johnson kończy 10-ty tom wierszy, marząc o nagrodzie Nobla, Janka Sokołowska biega boso po rosie z pamiętnikiem w ręku, a może mi ktoś się jeszcze wpisze, a Lusja z Wisią już od 5-tej rano przygotowują się na Mszę św. do kościoła itd... itd...

Nie możemy tu wspominać każdego uczestnika Zjazdu, ale za to wszystkim przesyłamy moc serdecznych życzeń, a kiedy przy ognisku połączą się Wasze ręce śpiewając „płonie ognisko i szumią knieje”, niech się Wam zdaje, że i nasze ręce łączą się z Waszymi!

*Ściskamy,  
Lala i Edek Śniechowscy*

PS. Życzenia te, o ile to możliwe, proszę umieścić w Listach do Redakcji „Zeszytów”, aby dotarły też do tych, którzy w tym roku nie są obecni na Zjeździe.

„Brownsville House”  
Anglia  
Roldan, 20. 04. 1998

*Ponadto serdeczne życzenia dobrego wyczynku w Kołobrzegu oraz pozdrowienia dla uczestników zjazdu tłumaczan nad morzem przysłali:  
Stefania Mańkowska z Nowego Sącza, Irena i Władysław Tomynowie z Warszawy.*

*Redakcja*

### *Szanowna Redakcjo!*

Serdecznie dziękuję za przysłane mi Zeszyty Tłumackie. To jedyna łączność, jaką posiadam z Krajem. Przenoszą mi one w lata dzieciństwa i młodości. Chodzę po alejach starego parku, boiska sportowego, które w zimie zmieniało się na ślizgawkę, gdzie w dnię świąteczne przygrywała orkiestra naszych uczniów gimnazjalnych i jak przyjemnie było holendrować w jej takt!

Czytając Z.T. odnajduję kochane ulice, dom rodzinny i osoby tak dobrze mi znane! Wszystko to tak dzisiaj dalekie. Mam już 83 lata, żyję sama, bo dzieci rozbiegły się po kraju, a mam ich dwoje, syna i córkę, i pięcioro wnuków, w tym jedna wnuczka. Zdrowie już mi nie pozwala na odwiedzanie ich – starość nie radość, ręce się trzęsą i pisać trudno. Toteż kończę zasyłając serdecznie pozdrowienia.

*Z poważaniem  
Maria Gabańska de Janicki*

### *Szanowna Redakcjo!*

W „odpowiedzi” na mój list, który został opublikowany w Nr. 1 (9) „Zeszytów Tłumackich” pozwałam sobie przesłać do ewentualnego wykorzystania kolorową kopię wycinka mapy, który został również w ww Nr pisma wydrukowany na okładce.

Oprócz tego przesyłam mapę rozbioru Polski w 1939 roku. W 1946 roku, po powrocie z ZSRR skierowano nas do Wołowa w woj. Wrocławskim gdzie przydzielono nam zwolnione przez Niemców mieszkanie. Znalazłem w nim atlas Świata wydany w 1921 roku, ale ręka właściciela niemieckiego z pieczołowitością nanosiła ruchy wojsk niemieckich w Polsce i nawet zmiany przy zetknięciu się wojsk niemieckich z sowieckimi. W ten sposób zachowała się ta mapka, której kopię przesyłam...

Jestem bardzo wdzięczny moim korespondentom – członkom redakcji za nadsyłanie mi „Zeszytów”, które z przyjemnością czytam. Ostatnio, Pani Helena Bilińska publikuje „Nasz słowniczek”. Jakkolwiek jest to słownik gwary to zasługuje niewątpliwie na kontynuowanie i być może oddzielne wydanie tak jak np. we Francji wydawane są słowniki języków regionalnych. Przypominam Pani Helenie, że nocny stolik to był nakastlik.

Serdecznie Państwa pozdrawiam i „ciumam” rączki zachęcając do kontynuacji tak pożytecznej pracy.

*Jean Stimm*

## Nasz słowniczek (c. d.)

Opracowała Helena Bilińska

makohon – wałek drewniany
makutra – gliniana donica
materia – tkanina
mecyje – specjał
mentekaptus – pomylenieć
meszty – półbuciki
myszgine – wariat
mieszanina – rozmaite wędliny
migłanc – łobuz
mudio – człowiek niewychowany
mudrahela – mądrala
murga – cham
mytka – szmatka do mycia naczyń
na hal pol – w pośpiechu
na odwertkę – na odwrót
na poćmaku – po ciemku
nachapać – nagromadzić, nakraść
naduc się – nadać się
nakastlik – szafka nocna
nastypurczyć się – zaperzyć się
nużda – niegodziwiec
nykać – szukać, szperać
odpekać się – odczepić się
pacnik – wieprzek
pampuch – rodzaj pączka
paniaga – wielki pan
papendekiel – tektura
pelechaty – o długich potarganych włosach

c.d.n.

## Lista ofiarodawców

w II kwartale 1998 r. na fundusz wydawniczy ZT

Janina i Józef Duszyńscy	Gdańsk	8,- zł
Helena Dewant	Nysa	16,- zł
Wanda Jegiełło	Kraków	7,- zł
Józef Ilczyszyn	Chocianów	1,- zł
Anna Korczowska	Gliwice	14,- zł
Maria Kasperowicz	Warszawa	2,- zł
Wincenty Kłonowski	Trzcianko Zdrój	11,- zł
Anna Linde-Apanowicz	Kielce	8,- zł
Stefania Mańkowska	Nowy Sącz	14,- zł
Jerzy Pielasz	Gliwice	40,- zł
Stanisław Rakowski	Kluczbork	4,- zł
Irena Ruszel	Paszowice	6,- zł
Maria Gabańska de Janicki	Argentyna	10 funt. ang.
Kornelia Szankowska	Gliwice	8,- zł
Henryk Woroszczuk	Lublin	32,- zł
na szkołę w Stanisławowie		
Mirosława Marcinkowska	Warszawa	10,- zł
Anastazja Bogucka	Gdańsk	10,- zł
Janina Pactwa	Gdańsk	5,- zł
Jadwiga Storożenko	Katowice	50,- zł
Składka na szkołę w Stanisławowie		25,- zł
Aniela Piśkiewicz	Szwecja	50 koron szw.
Jean Stimm	Francja	50 fran. franc.

Wszystkich Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania!

## † Odeszli

Dnia 5 czerwca 1998 r. odeszła od nas na zawsze nasza droga Przyjaciółka

### śp. Mirosława Tabińska-Galant



Z Lalą, gdyż tak Ją nazywałyśmy, łączyła nas długoletnia przyjaźń, która zaczęła się jeszcze w Tłumaczu i przetrwała do końca.

Lala, pomimo wielu życiowych przeciwności, wczesnie owdowiała i sama wychowała trójkę dzieci. Otaczały one Matkę najtroskliwszą opieką podczas Jej długotrwałej choroby. Radością Jej życia była para udanych wnucząt. Dla swych przyjaciół Lala miała zawsze, pomimo trapiącej ją choroby, życzliwe słowo i pogodny uśmiech, toteż z prawdziwą przyjemnością odwiedzaliśmy zawsze Jej dom.

Bardzo będzie nam Ciebie brakowało, droga Laluniu.

Łączymy się w smutku z Jej siostrą, Danusią Tabińską-Juhasz.

### Errata do ZT nr 4 (8) / 97

Strona, wiersz	Jest	Powinno być
s. 11 wiersz 14 od dołu	Różyczką	Rózdźką
s. 12 wiersz 12 od dołu	po pół	Gdy przeszło pół
	wieku potem	wieku potem

### Errata do ZT nr 1 (9) / 98

Strona, wiersz	Jest	Powinno być
s. 1 wiersz 19 od dołu	na nitkach	na witkach
s. 12 wiersz 2 od dołu	opuszczone słowa	
	<i>zawsze nam zagrać była gotowa</i>	
Cała zwrotka wiersza pt. „Orkiestra gimnazjalna” autorstwa H. Wilczewskiego brzmi:		

*Każdy z nas pewnie jeszcze pamięta  
jak to tłumacka orkiestra dęta  
ta gimnazjalna, ta młodzieżowa,  
zawsze nam zagrać była gotowa.*

s. 15 wiersz 7 od dołu	króciółko	króciutko
s. 16 wiersz 15/16 od dołu	Kałusza	katusza
s. 21 wiersz 3 od góry	lisci tych	łodygi kiści tych

Autorów tekstów oraz Czytelników za pomyłki bardzo przeprasza

Redakcja

Przyjaciółki



Das Gebiet der Provinz Westphalen nach dem Stande im Jahre 1817